ŚWIAT

Nr. 11 - 16 - III - 1929



Fot. Photo-Plat

Most Poniatowskiego: Przygotowania do walki z powodzią

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXIV

ŚWIAT

- NR - - 11 -

WARSZAWA, DNIA 16-go MARCA 1929 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

NA WIDOWNI POLITYCZNEJ

Powierzchnia naszego życia politycznego wzburzyła się ostatnio. Już dyskusja sejmowa nad budżetem obfitowała w ostre akcenty. Odsunięte od wpływów na rządy partje milczały cierpliwie, póki odczuwało się wyraźną poprawę stosunków finansowych i gospodarczych w kraju. Teraz, gdy konjunktura pomyślna przemija, gdy nie napływają nowe kapitały z zagranicy, a ujemny bilans handlowy wypompowuje dawniej uzyskane pożyczki, gdy o gotówkę trudniej, niż kiedykolwiek, gdy mnożą się zawody płatnicze i bankructwa najsolidniejszych firm — opozycja podnosi głos. Słyszy się oskarżenia, jakich nie było nawet bezpośrednio po walkach majowych. Przystąpienie do rewizji konstytucji pogłębiło antagonizmy; już nie o przemijające epizody wybuchają kłótnie; — spór idzie o ustrój państwa.

Trzeba stwierdzić, że projekt, wniesiony przez Blok Bezpartyjny współpracy z rządem, daleki jest od umiaru i realizmu, jakiego możnaby oczekiwać od tak wielkiego zespołu, opartego na wewnętrznym kompromisie między demokratami i zachowawcami. Niema w nim ani ducha demokratyzmu, ani instynktu zachowawczego. Z demokracji pozostała tylko terminologja, pokrywająca jedynowładztwo prezydenta Rzeczypospolitej. Ale jak w dawnej Polsce elekcyjnej tytuł królewski nie decydował o charakterze państwa, które raczej na nazwę republiki szlacheckiej zasługiwało, tak zatrzymanie w projekcie B. B. nomenklatury republikańskiej nie ratuje istoty rzeczy.

Prezydent, wyznaczający jednego z dwóch kandydatów na swego następcę, prowadzący samodzielnie politykę, będący przełożonym ministrów, którzy stają się jedynie kierownikami poszczególnych działów administracji, prezydent, mający przemożny wpływ na ustawodawstwo dzięki prawu inicjatywy i veta, prawu dekretowania w nieobecności Sejmu, podwyższania podatków o 10%, mianowania trzeciej części senatorów i utrzymywania w ryzach posłów groźbą unieważnienia ich mandatów, prezydent, mogący umorzyć postępowanie sądowe przed wyrokiem, — a jednocześnie nie ponoszący żadnej odpowiedzialności, przez nikogo nie kontrolowany — taki prezydent staje się samowładcą niemal dziedzicznym.

Obok niego zarówno rząd, jak i parlament zepchnięte są do roli podrzędnej. Rząd nie stanowi jednolitego ciała, solidarnie działającego, gdyż ministrowie mianowani są poszczególnie przez prezydenta, nie na wniosek prezesa rady ministrów. Premjer, który przy rządach gabinetowych jest czynnikiem uzgadniającym działalność ministrów i nadającym ton całej polityce rządu, tutaj nie ma nic do roboty. Wzamian władzy otrzymuje wątpliwej wartości rekompensatę: — zastępstwo prezydenta wrazie jego śmierci lub zrzeczenia się. Niepraktyczność tego przepisu występuje jawnie, gdy przypomnimy sobie kryzys majowy 1926 roku.

Jeszcze większym skrępowaniom podlega parlament. Sejmowi przeznaczono zaledwie 2 i pół miesiąca na rozpatrzenie budżetu, gdy obecnie w dłuższym o miesiąc terminie

ledwie zdąży się z nim uporać. Poza budżetem właściwie pozostaje tylko miesiąc czasu rocznie na działalność ustawodawczą — podczas sesji zwyczajnej (od połowy lutego do połowy marca, gdy budżet znajduje się w Senacie). Wprawdzie na żądanie połowy ustawowej liczby posłów, prezydent powinien zwołać sesję nadzwyczajną, ale może ją w każdej chwili zamknąć. Ponieważ zaś zamknięcie sesji powoduje wygaśnięcie nieukończonych prac, a w szczególności upadają niezałatwione przedłożenia rządowe, wnioski poselskie i interpelacje, więc prezydent może zupełnie unicestwić ustawodawczą działalność parlamentu, sprawując ją wyłącznie w drodze dekretów. Ponadto, jak już wspomniano, może niemiłego mu posła pozbawić mandatu, gdyż decyduje o ważności wyborów zaprotestowanych, a cóż łatwiejszego, jak zgóry zaprotestować wybór wszystkich opozycjonistów!

Przy dokładnym rozbiorze projektu możnaby więcej przytoczyć tak niefortunnych pomysłów. Tych parę przykładów świadczy jednak dostatecznie o skrajności całego projektu. Nic tedy dziwnego, że rząd obecny trzyma się od niego zdaleka, a wśród stronnictw sejmowych wywołał on reakcję w przeciwnym kierunku.

Zmiany konstytucji, proponowane przez grupy lewicowe, są także przepojone demagogją i nieliczeniem się z psychiką społeczeństwa polskiego. Proponują one trzy zasadnicze reformy: oddzielenie kościoła od państwa, zniesienie własności prywatnej i jednoizbowość, oraz szereg inowacji mniejszego kalibru.

Do konstytucji kraju, w którym stosunki małżeńskie regulują się według prawa kanonicznego i w którym urzędnikami stanu cywilnego są duchowni, wprowadzanie zasady oddzielenia kościoła od państwa — jest lunatyzmem politycznym. To jakby ktoś chciał jeździć samochodem po błotach pińskich. Ekscentryk taki utonie razem z maszyną. Przez dziesięć lat nie udało się urzeczywistnić zagwarantowanej w konstytucji tolerancji wyznaniowej i wolności sumienia, a tu doktrynerzy lewicowi wywieszają tak niepopularne i niezrozumiałe dla naszego społeczeństwa hasło.

Klasyczne doktrynerstwo też podyktowało dwa warjanty, dotyczące prawa własności: P. P. S. proklamuje zastosowanie natychmiastowe kontroli państwowej nad wszystkiemi środkami produkcji, komunikacji i wymiany oraz stopniowe ich upaństwawianie, dwa zaś stronnictwa ludowe zadawalają się konfiskatą dóbr ziemskich ponad 60, względnie 30 hektarów. Obydwa projekty nie liczą się z możliwością urzeczywistnienia, są wytworem czystej demagogji. Do nich należy zaliczyć też: wprowadzenie prawodawczej „inicjatywy ludowej", nadanie Izbie Pracy cech jakiegoś pobocznego parlamentu z prawem inicjowania ustaw, obowiązkowego opinjowania ich przed uchwaleniem i interpelowania ministrów, dalej utworzenie wyłącznie dla obioru prezydenta Zgromadzenia Narodowego drogą pięcioprzymiotnikowych specjalnych wyborów, drakońskie ograniczenia praw cywilnych nietylko współmałżonków posła i ministra, ale ich rodziców i dzieci etc.

Odrębnie traktować należy wprowadzenie jednoizbowości. Istotnie Senat nasz nie zdał egzaminu. Przeżuwanie materjału opracowanego już przez sejm w komisjach i na plenum — nikogo nie może zainteresować. Druga Izba w naszych warunkach albo stanie się, jeśli będzie oparta o demokratyczną ordynację wyborczą, dubletem sejmu, albo — przy wprowadzeniu cenzusów lub nominatów — przekształci się w zaporę dla ustawodawstwa i w siedlisko reakcji. W pierwszym wypadku jest zbyteczna, w drugim — szkodliwa. Dlatego oddawna rozlegają się głosy — nietylko z lewej strony — za pozostawieniem jednego tylko organu przedstawicielskiego legislatywy i uzupełnieniem go fachowem ciałem doradczem — pod nazwą Rady Stanu czy Straży Praw — dla czuwania nad poprawnem prawniczo opracowaniem ustaw. Projekt lewicy rozumie potrzebę takiego ciała, lecz rozstrzyga sprawę połowicznie, tworząc „Komisję Kodyfikacyjną Sejmu", niewiadomo, czy z posłów, a więc znów według klucza partyjnego, czy ze znawców z poza parlamentu, ale powołanych przez kluby tak samo pod politycznym kątem widzenia.

Utworzenie instancji kompetentnej, poza wszelkiem działaniem polityki, dla opinjowania projektów rządowych przed wniesieniem ich do sejmu, oraz powtórnie — przed ostatecznem uchwaleniem w trzeciem czytaniu — zaradziłoby błędom prawniczym, obdarzenie zaś prezydenta prawem veta zawieszającego usunęłoby obawę przypadkowości i lekkomyślności w ustawodawstwie. W ten sposób podwójne zadanie, powierzone dzisiaj Senatowi, byłoby lepiej wypełnione.

Niestety, projekt lewicy kwestji tej nie załatwia definitywnie, w innych punktach natomiast jest krańcowy i nieżyciowy. Jest on conajmniej tak samo niebezpieczny, jak projekt Bloku Bezpartyjnego. Z tych dwóch opracowań konstytucyjnych najlepszym wydaje się ten trzeci — tekst konstytucji obecnej. Znowelizowanie go w roku 1926 usunęło kardynalne wady; obecnie wystarczyłoby przeredagować i uzupełnić niektóre artykuły, wywołujące nieporozumienia wskutek niejasnego sformułowania. Kilkanaście takich pożytecznych poprawek zawiera zarówno projekt B. B., jak i projekt lewicy.

Dalekoidące zmiany w kierunku jedynowładztwa politycznego czy radykalizmu społecznego nie przyczynią się do stabilizacji naszych stosunków. Za jednemi i za drugiemi stoi tylko mniejszość społeczeństwa. Ani te ani tamte nie mają szans przejścia w drodze konstytucyjnej. Narzucanie zaś ustroju państwowego gwałtem, byłoby nieszczęściem dla państwa, nawet gdyby ustrój ten miał być najdoskonalszy, najtrwalszy, najsprawiedliwszy, a cóż dopiero, gdy żadnej z tych zalet nie posiada.

Naród polski nie chce ani zamachu stanu, ani rewolucji. Pragnie on pracować w spokoju i wytęsknionej zdawna wolności, a ustrój państwowy kształtować i doskonalić zwolna, ewolucyjnie, na podstawie doświadczeń własnych i obcych, nie wierząc w pozbycie się wszystkich dolegliwości odrazu i w możność skoczenia jednym susem w urządzenia idealne. Jeśli zwłaszcza miraż ten ma być okupiony krwi rozlewem i zmąceniem całego porządku państwowego — to lepiej się go wyrzec i wystrzegać.

Takie odczuwanie potrzeby spokoju i ładu sprawia też, że ostatnie perturbacje na arenie politycznej nie mącą bynajmniej głębin życia narodowego. Ani kampanja przeciwko ministrowi Czechowiczowi, ani mowa marszałka Piłsudskiego nie wstrząsnęły ponad miarę naszą opinją publiczną. Śledzi ona zapasy polityczne z zainteresowaniem, lecz bez namiętności. Widzi w nich etapy rozgrywającej się u nas walki władz, przez którą przejść muszą wszystkie państwa. Po supremacji legislatywy nastąpił odwet egzekutywy, aby w rezultacie ustąpić miejsca zrównaniu się sił i ustabilizowaniu ich na właściwym poziomie. Synteza ta już się zbliża. Trzeba na nią czekać bez egzaltacji i bez zwątpienia. Przyjdzie!

Witold Giełżyński

O KSZTAŁCENIU UCZUĆ OBYWATELSKICH

2)

W każdym samorządzie powstawał sąd, który sądził uczniów, wyłamujących się z pod statutu samorządu i zazwyczaj sądził bardzo surowo, niekiedy tak surowo, że trzeba było interwencji nauczycieli, aby wyroki czynić bardziej łagodnemi i nie stosować najwyższego wymiaru kary w stosunku do błahych zgoła przewinień. Z biegiem lat samorządy przyjęły się wszędzie, zakwitł w klasach porządek, a na ogólnych zgromadzeniach uczniowskich wygłaszano przemówienia wzorowane na obyczaju parlamentarnym, a nawet niekiedy na parlamentarnem krasomówstwie. Naczytałem się mnóstwa sprawozdań, układanych przez nauczycieli amerykańskich i ze sprawozdań tych można wywnioskować, ile pracy pochłonęły te pierwsze próby i dalsze etapy rozwoju instytucji samorządu.

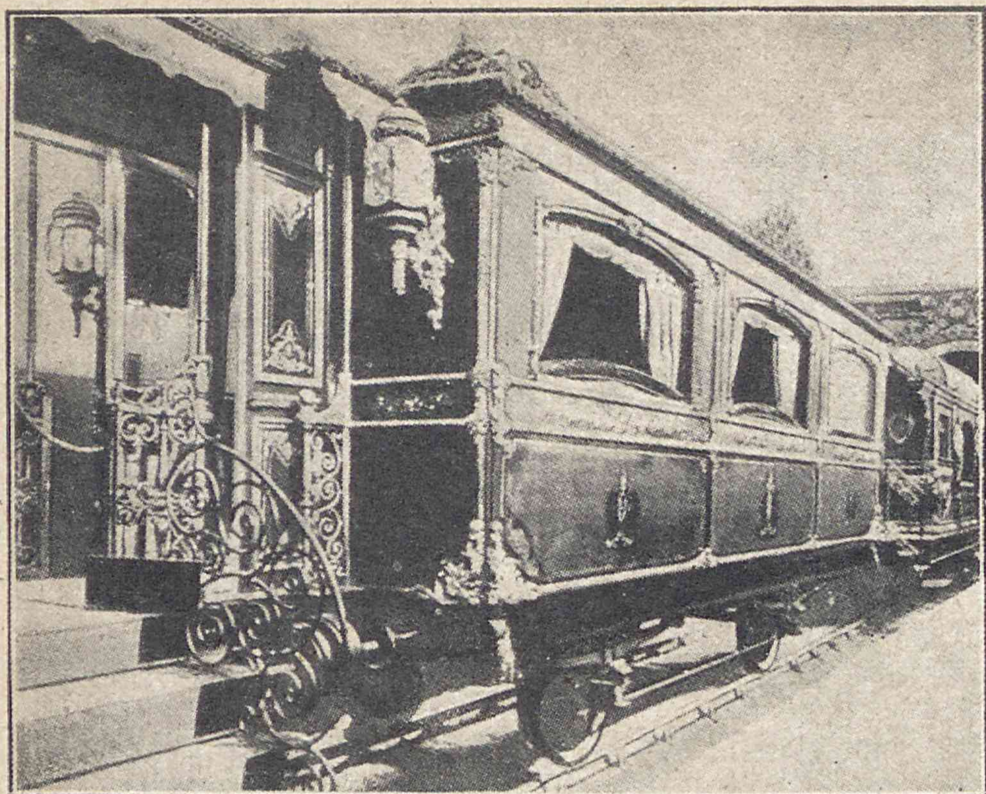
Nauczyciele opowiadają, że uczniowie w wyborach swoich przewódców bywają bardzo przezorni, a niekiedy i bardzo dowcipni. Trzeba, aby uczeń wykazał w ciągu kilku lat wiele rozumu, panowania nad sobą, przezorności, żeby mógł być mianowany prezesem samorządu (w szkołach koedukacyjnych bywają nimi nieraz dziewczęta). Bibljotekarz czuwa nad książkami lepiej, niż to czynił nauczyciel: książki, stanowiące własność bibljoteki szkolnej, muszą być zwracane w stanie takim, w jakim były wypożyczone i każde uszkodzenie, każdy kleks bywają srodze karane. Interesowało uczniów w wysokim stopniu zagadnienie czystości osobistej, kiedy władze szkolne stosowały kary z tytułu niedostatecznie wymytych uszu, albo plam atramentowych rozmazywanych po młodocianych obliczach, albo palców maczanych w kałamarzach razem z piórami. Kary te były odczuwane bardzo boleśnie i wywoływały niejednokrotnie protesty ze strony gromady uczniowskiej. Wyrokom dygnitarza uczniowskiego, czuwającego nad czystością osobistą kolegów, brudasy podporządkowują się bez szemrania. I szczegół ciekawy, o którym opowiada jeden z nauczycieli amerykańskich: gdy na zgromadzeniu miano wybierać urzędnika, czuwającego nad czystością, jeden z uczniów zaproponował, ażeby wybrać Johna, zwanego „brudasem"; zaczęto się śmiać: „wszak John jest brudas", wołali niektórzy wyborcy... „Właśnie dlatego zróbmy go dozorcą", odpowiedział wnioskodawca.

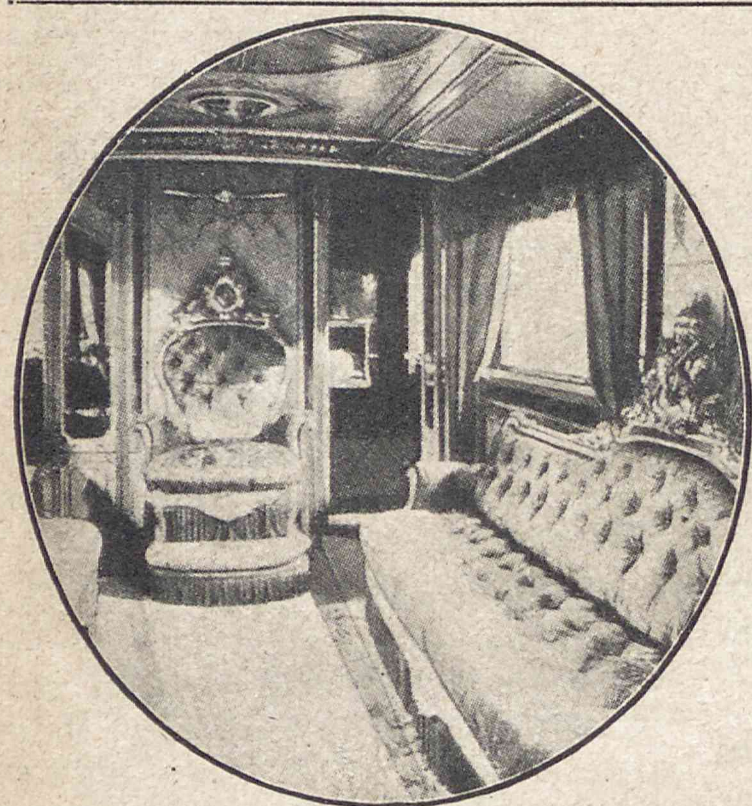
Miał słuszność, John był bez litości, a jako wielki znawca tego wszystkiego, co może być brudne w twarzy, w rękach i w ubraniu ucznia, nie darował nikomu. Za jego rządów klasa stała się poprostu wzorem czystości.

Samorząd amerykański jest nietylko szkołą myślenia i postępowania politycznego. Jest także szkołą moralności i dobrych zbiorowych uczynków. Pewnego dnia zachorował nauczyciel, który nie był szczególnie lubiany przez uczniów. Zarząd samorządu postanowił pójść do niego, wyrazić kondolencję z powodu choroby i pocieszyć rodzinę, a gdy choroba stawała się coraz cięższą i dzieci dowiedziały się, że nauczycielowi potrzebny jest bezwzględny spokój, zwróciły się oficjalnie do zarządu miasta z prośbą, żeby wysłać słomą uliczkę, przy której nauczyciel mieszkał. Prośba ta została przez burmistrza wykonana i nauczyciel, który o tym akcie zorganizowanej dobroci opowiada, dodaje: dzieci te pod względem subtelności i rozumnego odruchu dobroci wyprzedziły nas, albowiem ja bym nigdy nie wpadł na pomysł, że można z podobną prośbą zwracać się do takiego dygnitarza, jakim jest burmistrz miasta, może dlatego, że bałbym się, aby mi nie odmówiono; prośbie dzieci zarząd miasta nie miał odwagi odmówić. Stąd wnosić również należy, że samorząd szkoły naszej zdobył sobie pewien autorytet w zarządzie miasta". Te dzieci przeobrażają się powoli ale stale w obywateli rozumiejących swoje prawa i odczuwających coraz głębiej swoje obowiązki.

Wszystkie przykłady, które zebrałem w tej krótkiej pogadance, mają wartość nietylko same w sobie, ale dają się zebrać w pewien system filozoficzny. Nauka o obowiązkach obywatelskich i o sposobach nauczania tych obowiązków, poczynając od szkoły powszechnej, kształcenie obywatela w nowoczesnej demokracji na człowieka coraz głębiej reagującego na potrzeby ogółu i na obowiązki wobec całości państwa i społeczeństwa, ma swoje głębsze źródła w filozofji społecznej, opartej na analizie wielkiej ilości zjawisk społecznych. Społeczeństwo nie stanowi zbiorowiska jednostek rozbitych na nieprzeliczone atomy, niczem ze sobą niezwiązane i przypominające piasek nad morzem. Człowiek żywy i w społeczeństwie żyjący związany jest z bliźnim swoim nieskończoną ilością wiązadeł społecznych, zmuszających go do olbrzymiej ilości czynów społecznych, a nawet altruistycznych. Wszystko, czem jesteśmy w sensie duchowym i moralnym, zawdzięczamy nieprzeliczonej ilości współobywateli w teraźniejszości i w przeszłości. Ubranie, które nosimy, obiad, który spożywamy, książka, którą czytamy, widowisko teatralne, które nas bawi, czy uczy, miasto, w którem mieszkamy, dom, który nas chroni od mrozu i wiatru, wszystko to jest dziełem nieprzeliczonych ilości braci naszych w czasie i przestrzeni. Ten czas jest bez granic, ta przestrzeń jest bez granic. W tym sensie cała historja ludzkości żyje koło nas i w nas i cała ludzkość pracuje po to, ażeby życie nasze uczynić łatwiejszem, piękniejszem, pełniejszem pod względem treści i wartości.

Weźmy książkę do ręki, książkę umiłowanego autora. Złożyło się na tę książkę i na tę rozkosz, którą, czytając ją, odczuwamy, mnóstwo czynników: nietylko genjusz autora, ale i praca tych wszystkich, którzy sprawili, że dzisiaj to dzieło genjusza może być przez wszystkich czytane. Zecer książkę tę składał, tysiące robotników metalowych czcionki przygotowało, dzięki którym zecer mógł pracować, robotnicy z papierni przygotowali dla niego papier, a gdy już książka była złożona, dalsi współpracownicy ją zbroszurowali, a introligator ją oprawił. Dodajmy do tego jeszcze tych wszystkich, którzy przygotowali farbę drukarską i tych, którzy nadali książce wygląd estetyczny i wydawcę wreszcie, który sprawił, że książka jest dostępna dla wszystkich ludzi, i że sprawdziły się słowa modlitwy Adama Mickiewicza, aby jego „Pan Tadeusz" mógł trafić pod strzechy wieśniacze. Jeszcze nie wszystko. Papier, na którym książka ta została wydrukowana, ma za sobą olbrzymią historję wysiłków ludzkości, boć przecież nie zawsze papier istniał. On też ma olbrzymią historję w swoim rozwoju, idąc wstecz od papieru drzewnego i bezdrzewnego, aż do pergaminu średniowiecznego, aż do papirusu egipskiego, aż do woskowych tabliczek zym-





Pociąg papieski z czasów, gdy istniało państwo kościelne. Władze włoskie zwróciły go teraz do dyspozycji papieża. Wagon papieski audjencjonalny: tron i boczne kanapy dla kardynałów i świty papieskiej

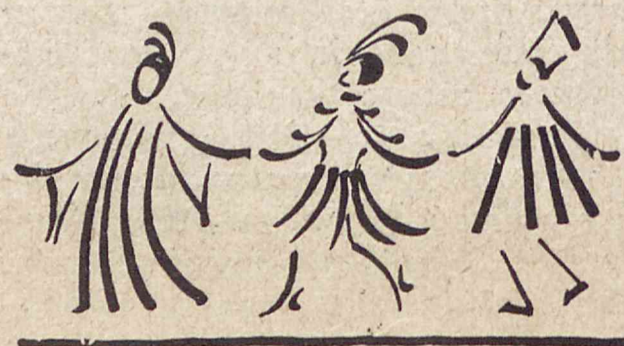


Egzekucja J. Leona Torala w Meksyku, zabójcy gen. Obregona, słynnego z walki z klerem i katolicyzmem: 1) Tłum obecny na egzekucji; 2) Ojciec Torala obejmuje płaczącą synowę; 3) Najbliższa rodzina J. L. Torala

skich i tych innych, które odnajdujemy dzisiaj pokryte pismem klinowem. Ile tysięcy lat, wypełnionych pracą genjuszów i pracowników, trzeba było, ażeby ludzkość od hieroglifów egipskich posunęła się aż do dzisiejszego alfabetu i dzisiejszych czcionek drukarskich, coraz praktyczniejszych i coraz estetyczniejszych. Gdy nad temi sprawami zastanawia się myśl nasza, rodzi się w sercach naszych *uczucie głębokiej wdzięczności* dla tych wszystkich, którzy przed nami żyli i którzy w ciągu długich stuleci zbudowali podstawy naszego życia społecznego. Rodzi się uczucie głębokiej wdzięczności dla tych wszystkich, którzy dla nas na wsi i w mieście pracują, oszczędzając nam na każdym kroku wysiłku fizycznego, umożliwiając nam istnienie fizyczne i duchowe, umożliwiając nam radości życia, stwarzając podstawy coraz potężniejszego postępu ludzkości w dziedzinie wartości duchowych i moralnych. Ten zbożny wysiłek wszystkich dla wszystkich stwarza *pojęcie obywatela,* jako cząstki spojonej prawami i obowiązkami społeczności. Już Buddyści uczyli *as twam asi* (ja jestem ty), co znaczy, że ja muszę żyć dla ciebie, że ty musisz żyć dla mnie, że obaj należymy do większej całości, wobec której mamy obowiązki, i że spełnianie tych obowiązków stanowi o tem, że jesteśmy tej całości społecznej *obywatelami.*

Dlatego pracować musimy, ażeby poczucie przynależności obywatelskiej stawało się coraz bardziej jasne i oczywiste. Pracować musimy, aby bliźni nasz, związany z nami jednem prawem decydowania o losach społecznych i politycznych kraju, coraz jaśniej zdawał sobie sprawę z tych praw i obowiązków, jakie na nim ciążą. Z wykonywania tych praw i obowiązków w nowoczesnej demokratycznej republice rodzi się dobrobyt kraju, jego postęp i jego promienna przyszłość.

Stanisław Posner
senator.



Z WYSTAW PARYSKICH.

OBRAZY BELTRANA MASSESA





„Las majas"



Damy nad morzem



Portret pań Reynaut

OBRAZY BELTRANA MASSESA

Znawcy sztuki i wielbiciele wielkiego talentu Beltrana Massesa, najznakomitszego z żyjących malarzy hiszpańskich, mieli ponownie sposobność podziwiania jego świetnego i błyskotliwego genjuszu iberyjskiego podczas wernisażu, który odbył się kilka tygodni temu z okazji ukończenia portretu wicehrabiego de Léché.

Tym razem, jak od początku swej fenomenalnej artystycznej karjery, dał Beltran całą gamę nowych, głęboko przemyślanych i z całem natchnieniem, pasją i polotem wykonanych kompozycji, portretów i pomniejszych kompozycji, z których najciekawszemi są ilustracje do znanej książki Dannunzia o Miłości i Śmierci. Co za skala malarska i żywiołowy temperament u tego rasowego Hiszpana, co za zmysł kolorystyczny, z pomocą którego, jak na orkiestrze, potrafi wygrywać wszystkie kolorystyczne harmonje i tęskne hiszpańskie melodje. Każdy nowy obraz Beltrana to orgja umiejętnie opanowanych form i kolorów przy zawsze niebanalnej treści, która nęci oko i niepokoi umysł i serce. Coś się w tych obrazach zawsze dzieje, co przykuwa i czaruje. Znać, że jakaś żywiołowa siła je rodziła i przerzuciła na płótno; znać, że potężne zmysły gnały go do realizacji jego artystycznych koncepcji, lecz zmysły, opanowane przez wytrawny umysł i starą kulturę. Przy całej swej sile ekspresji dominującą cechą obrazów Beltrana jest równowaga: nie przesadza on naprzykład w nadmiarze nagości, lecz uzupełnia i równoważy walorami duchowemi, jak w obrazie „Les dames de la mer", lub „Les majas" i dziesiątkach innych prac, które trudno by było tutaj wyliczać. W portretach ta sama imaginacja i ten sam umiar.

Stefan Kleczkowski

Paryż.

HISTORJA O PAJACACH

Niedawno, nakładem „Roju", ukazały się w bogatem wydaniu dwie dawne książki Juljusza Germana: „Historja o Pajacach" i „Gospoda pod trzema zbójami". Autor tych książek wydał je już poraz trzeci z kolei, jakgdyby chciał niemi zakrzyknąć: „Anch io sono poeta!" Są to bowiem dokumenty ciekawe owych dawnych czasów, kiedy przed dwudziestu kilku laty kwitła w przeczystem artystycznie powietrzu Lwowa niebieska poezja. Wtedy to Juljusz German, dziś autor dwudziestu książek, narodził się w literaturze i wziął odrazu lot tak górny i tak śmiały, że mu niebyle kto, bo sam Pawlikowski otworzył na oścież bramy wspaniałego swego teatru i wystawił mu przepysznie „Lilith", poemat dramatyczny nietylko o zupełnie czarującym wdzięku, lecz śmiały w pomyśle i warem kipiącym poezji wybiegający poza brzegi formy ustalonej. Młody poeta rozwinął taką fantazję i tyle bogactwa poetyckiego, że Pawlikowski z rozkoszną satysfakcją wcielił to w kształt sceniczny, bujny a subtelny, tęczowy i migotliwy. Bednarzewska, Solski i Tarasiewicz stworzyli role niezapomniane, pełne tajemniczego uroku, poezją nawskroś przepojone. Młody autor oddychał poezją i snuł ją w każdej nowej książce. Jakie wtedy budowano na tym dziwnym i niepowszednim talencie nadzieje i jak piękne było to, co już stworzył, o tem może świadczyć głośny swojego czasu, kapitalny feljeton Gabryeli Zapolskiej p. t. „Un poete joli". Musiało to być w istocie coś bardzo niezwyczajnego, jeśli zdołało ująć i wzruszyć tę srogą matkę naturalizmu, do wzruszeń nienawykłą i niebawiącą się w sentymenty. Może dlatego właśnie, że chodziła po nizinach, jastrzębim wzrokiem wypatrując zdobyczy na ludzkiem, przyziemnem żerowisku, zachwycił tak poeta, latający po obłokach, gadający z księżycem, pieszczący się każdym promieniem, pozujący się tragicznie, grający na mandolinie z różową wstążką. German uprawiał wtedy poezję „księżycową", tragiczny Pierrot, mający różę zamiast serca i z każdego słowa toczący perłę. Pioruny chwytali inni, inni żyli wśród ognia i burzy, on, — bo tak mu kazał jego talent subtelny, miękki i kwiecisty, — szukał dookoła siebie wdzięku i niebieskiego piękna. Twórczość jego była — błękitna. Książki jego z tych czasów, jak te dwie właśnie — „Historja o pajacach" i „Gospoda pod trzema zbójami", są, jak pachnące ogrody, w których każde słowo pragnie być kwiatem, każda kropla rosy przypomina brylant, a każde tchnienie wiatru jest miłosną piosenką. Jest to poeta wdzięku. Wdzięk ten zaś jest niefałszowany, ujmujący i rozrzewniający; stroi on każdą stronicę tych książek uśmiechem, częściej smutnym, rzadziej wesołym, bardzo rzadko tragicznym. Jest to poezja na — spokojne czasy. Oczywiście, kiedy się przewala burza, a ziemia się rusza w posadach, książki takie, śliczne i cichutkie, milkną, jak rozśpiewane ptaki. Przeto i ich autor pożegnał je rozmiłowanym smutnym uśmiechem i w powojennym okresie swojej twórczości, innej, cięższej jął się pracy. Nie czas hodować róż. Dzisiaj jednak, ujrzawszy je po raz wtóry, patrzymy na nie z cichem rozrzewnieniem, jak na pamiątki owych dni, kiedy poezja kwitła w ogrodzie wdzięku i kiedy ranka na sercu Pierrota już wielką była tragedją w poetyckiej przesadzie. Miała ona takie same dobre prawo do życia, jak ptak śpiewający. „Nie wszystko to, co piękne, to jest pożyteczne".



Jul. German

Książki te, ciche, rozśpiewane językiem pięknym i nadobnym, przypominają kunsztowne cacka. Treść ich mieści się w zdaniu, wyjętem z jednej z nich: „We flakonie z onyksu mam balsam na wszelką tęsknotę". Każda z nich może podać swoje curriculum vitae innem zdaniem: „Była kontesinną i miała w oczach fiołki". Celem ich jest przeciwstawienie brutalności życia — jego wdzięku, osłoda goryczy. Są to przybytki cichego nastroju, kapliczki, w których się marzy o słodyczy miłości i o tęsknotach serca. Obie te książki pełne są poezji, wiotkiej i subtelnej. Czytając je, nie należy zapominać, że narodziły się w czasach, kiedy na świecie istniał jeszcze wdzięk i szlachetna wytworność. Są to dzieła poety, który młodość swoją całą poświęcił na poszukiwanie poezji we wszystkiem, co go otaczało i umiał z jednego promyczka słońca wysnuć poemat o złotem marzeniu.

M.

Z zagadnień naszej wytwórczości filmowej

Nasza rodzima wytwórczość filmowa wzrosła w ostatnich czasach znacznie, zgoła przytem jednak nie poprawiając się, nie podwyższając swego poziomu. Filmów polskich jest coraz więcej, ale, z nader nielicznemi wyjątkami, wszystkie są średniej wartości lub zgoła liche. Rozwój produkcji? Tak. Produkcji bardzo przeciętnej, często tandetnej.

Nasze obrazy filmowe nie mogą wydostać się po za granice kraju: nie wytrzymują współzawodnictwa z cudzoziemskiemi. W ostatnich czasach, wskutek zabiegów czynników oficjalnych, wyświetlono w New Yorku film propagandowy polski p. t. „Jeszcze Polska nie zginęła". Zawiódł. Korespondent „Kurjera Poznańskiego" stwierdza z żalem, że wykonanie techniczne tego filmu nawet w przybliżeniu nie dosięga poziomu nietylko filmu amerykańskiego, ale nawet i przeciętnie europejskiego! Jednocześnie znacznego powodzenia doznały dwa inne również propagandowe filmy: sowiecki — „Koniec Petersburga" i niemiecki — „Z frontu niemieckiego".

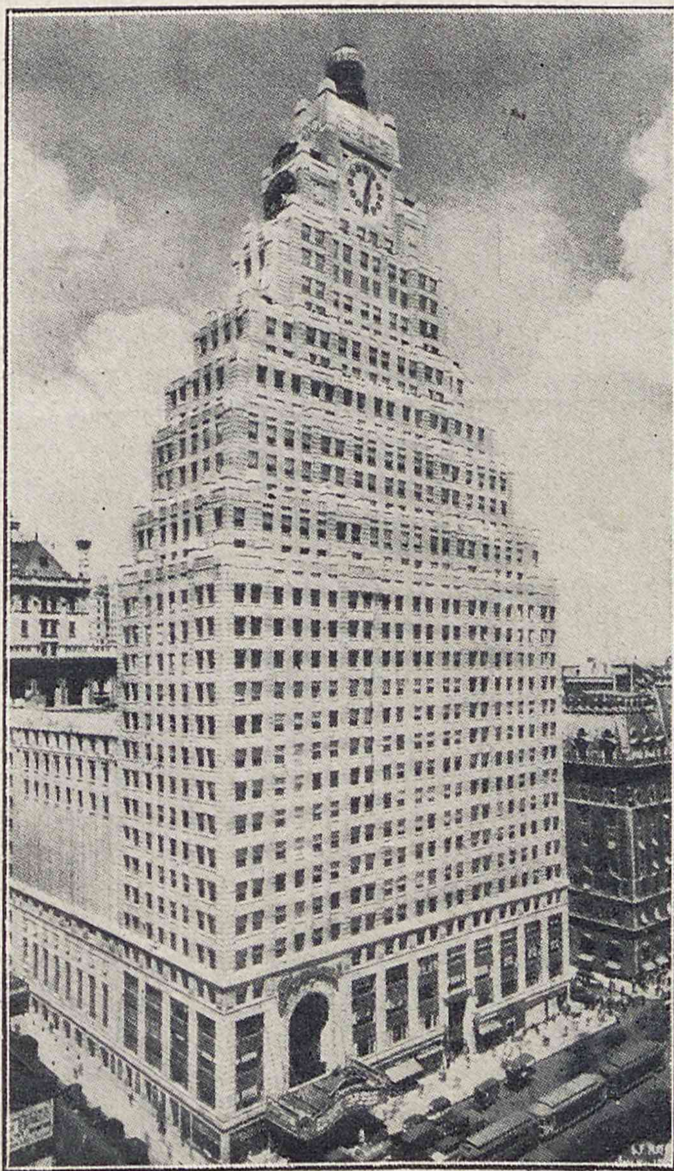
W samej Polsce zachodzi obawa, czy wkrótce etykieta: film polski nie będzie zrażać nawet szerszych warstw publiczności, jak dziś już odstręcza bardziej wymagającą, inteligentniejszą cząstkę widzów.

Film polski walczył od początków swego istnienia z wielkiemi trudnościami: z brakiem środków technicznych, reżyserów, operatorów, artystów i przedewszystkiem — kapitału. Niebawem może mu grozić wróg najniebezpieczniejszy, decydujący: obojętność i nawet niechęć — publiczności.

Literatura również nie odniosła w filmie korzyści. Było pół biedy, gdy „kręcono" „Trędowatą", „Dzikuskę" i inne tego pokroju dramatyczne anegdoty. Lecz potem przedsiębiorcy sięgnęli do Żeromskiego, Struga, nawet do Mickiewicza. Obrazy, które z tej spekulacji powstały, nie pogłębiły umiłowania szerokiego ogółu dla dzieł najistotniejszej wartości. Wyrządziły im raczej krzywdę.

Należałoby tedy, i to jaknajenergiczniej, podjąć wysiłki celem podniesienia poziomu artystycznego filmów polskich. Nasze „czynniki miarodawcze" zachowują wobec tej produkcji zbyt daleko posuniętą obojętność. Wytwórczość filmowa wydaje się tam czemś niepoważnem, mimo, że daje w wyniku towar, który jak dotąd jeszcze znajduje natychmiastowy zbyt za gotówkę, który wypiera importowany towar zagraniczny. W mniemaniu tych kół poważnym jest tylko przemysł „ciężki", tkacki, chemiczny, — choćby nawet pracował ze stałym deficytem i kosztował skarb setki miljonów.

Produkcja filmowa dotychczas pozbawioną jest wszelkiej pomocy. Czasem, wprawdzie, jakiś zręczny filut — w tym lub innym urzędzie wyłudzi nieusprawiedliwioną subwencję na imprezę, która jest występkiem przeciw sztuce i zdrowemu rozsądkowi. Uczciwy i fachowy producent polski znikąd nie może spodziewać się pomocy.



Gmach wytwórni Paramount w Nowym Jorku. W gmachu tym mieści się teatr świetlny o 3.500 miejscach, czynny bez przerwy od godz. 11-ej rano do 2 i pół w nocy

. . . .

Liczba teatrów świetlnych wynosi w tej chwili na całej kuli ziemskiej około 120.000. Z liczby tej na Stany Zjednoczone przypada 25.000, na Rosję — 8.000, na Niemcy 5.660, na Francję — 4.050, na Anglję — 4.000, na Włochy — 3.200, na Ukrainę—2.000, na Hiszpanję — 1.960... Polska, ze swemi 500 (mniej więcej) kinematografami, ciasnemi i licho urządzonemi, zajmuje dotąd jedno z pośledniejszych miejsc w tej statystyce. Lecz niewątpliwie i w Polsce liczba teatrów będzie się wciąż pomnażać — sale tych teatrów będą zwiększać swą pojemność i wygody. Kinematograf przestaje być rozrywką, staje się nieodpartą potrzebą. Z tego trzeba zdać sobie sprawę.

Kapitał, umieszczony w przedsiębiorstwach filmowych całego świata, obliczają w tej chwili na 25 — 30 miljardów złotych.

W przemyśle filmowym pierwsze miejsce zajmuje obecnie Ameryka, w której stał się on źródłem wielkich bogactw, gdzie reprezentuje kapitał około 18 miljardów złotych i gdzie zatrudnia około miljona pracowników różnego poziomu. Następne miejsca przypadają Niemcom, Anglji, Francji i Włochom. Wielka liczba ekranów w Rosji Sowieckiej i na Ukrainie pochodzi stąd, że używane są tam one w znacznej mierze dla celów propagandowych i szkolnych.

. . . .

Krąg interesów i zagadnień filmowych obejmuje:

teatry świetlne i przedsiębiorstwa trudniące się wynajmem filmów, oraz

wytwórczość obrazów.

W tym artykule zajmuję się głównie wytwórczością. Nikt nie wątpi w jej olbrzymie znaczenie pod względem finansowym. Oczywiście, nie u nas, lecz w tych krajach, które umiały ją zorganizować. Więc przedewszystkiem w Ameryce i w Niemczech.

Lecz dziedzina finansowa jest tylko cząstką tej sprawy. Wytwórczość filmowa posiada niesłychanej wagi doniosłość pod względem narodowym i społecznym.

Nie będę dowodził nieodzowności reklamy dla każdego państwa. Nazywa się ta reklama — propagandą.

We wszystkich krajach uznano jej konieczność, wszędzie potworzono odpowiednie urzędy, placówkom dyplomatycznym przybył jeszcze jeden trud.

Propaganda służy zwłaszcza interesom gospodarczym poszczególnych państw, wzbudza wśród obcych zaufanie, wznieca życzliwość.

W czasach obecnych nietylko sojusze polityczne, lecz i pożyczki finansowe nie mogą dojść do skutku bez współdziałania opinji publicznej. P. G. Fain, jeden z najwybitniejszych francuskich znawców tej materji, pisze:

— „Bez żadnej wątpliwości, w dobie dzisiejszej niema lepszego środka reklamy narodowej, jak ekran teatru świetlnego".

A pod względem społecznym? Publicysta „Berl. Boersen Ztg." p. Olimsky, z powodu wyświetlenia w Berlinie sowieckiego obrazu „Koniec Petersburga", takie czyni uwagi:

— „Cóż łatwiejszego, jak wzniecać w sercach i w umysłach publiczności, gromadzącej się co wieczór w teatrach świetlnych, wzgardę, zawiść i nienawiść, jak pogłębiać walkę klas, wyjaskrawiać przeciwieństwa bytowania „uczciwego robotnika" i „chciwego kapitalisty", jak łudzić wyobraźnię mirażami cudów, które rzekomo ma przynieść „rewolucja socjalna"!

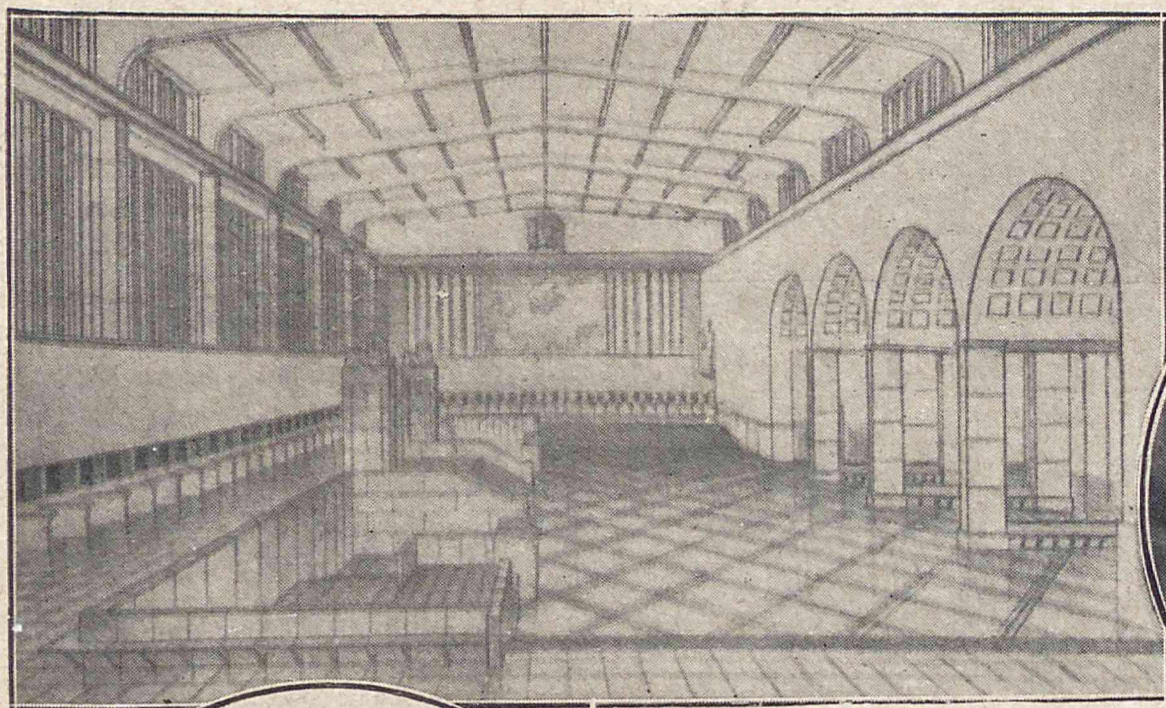
Tak oceniają wagę, niebezpieczeństwa i korzyści moralne wytwórczości filmowej na Zachodzie. U nas rozwija się ona, jak rachityczny dzieciak, pozbawiony opieki i środków, zostawiony sam sobie.

Nasze sfery urzędowe interesują się nierównie więcej wystawą obrazów lub kilimów polskich, urządzoną dla dyplomatycznej elity w jakiejś mniejszej stolicy zagranicznej, wydaniem przekładu powieści, którą przez grzeczność ten i ów cudzoziemiec przyjmie w upominku i włoży nieczytaną do szafy bibljotecznej, urządzeniem koncertu, który zgromadzi garstkę meloznawców.

Zaiste, jest w tem duże nierozumienie nowych czasów i zmian, jakie w życiu ludzkości zaszły. Dziś nie wystarcza przelotna i powierzchowna sympatja wykwintnej elity. Dziś trzeba umieć trafić do wyobraźni mas.

Stef. Krzyw.

KONKURS NA DWORZEC CENTRALNY W WARSZAWIE



Fragment wnętrza, I nagroda, projekt Nr. 12 Czesława Przybylskiego

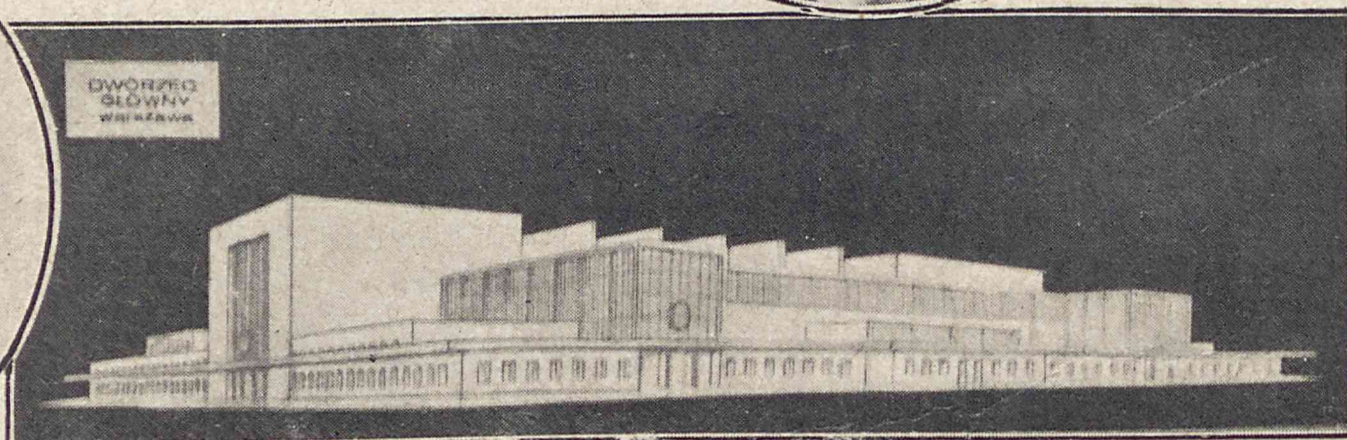
Fot. Marjan Fuks



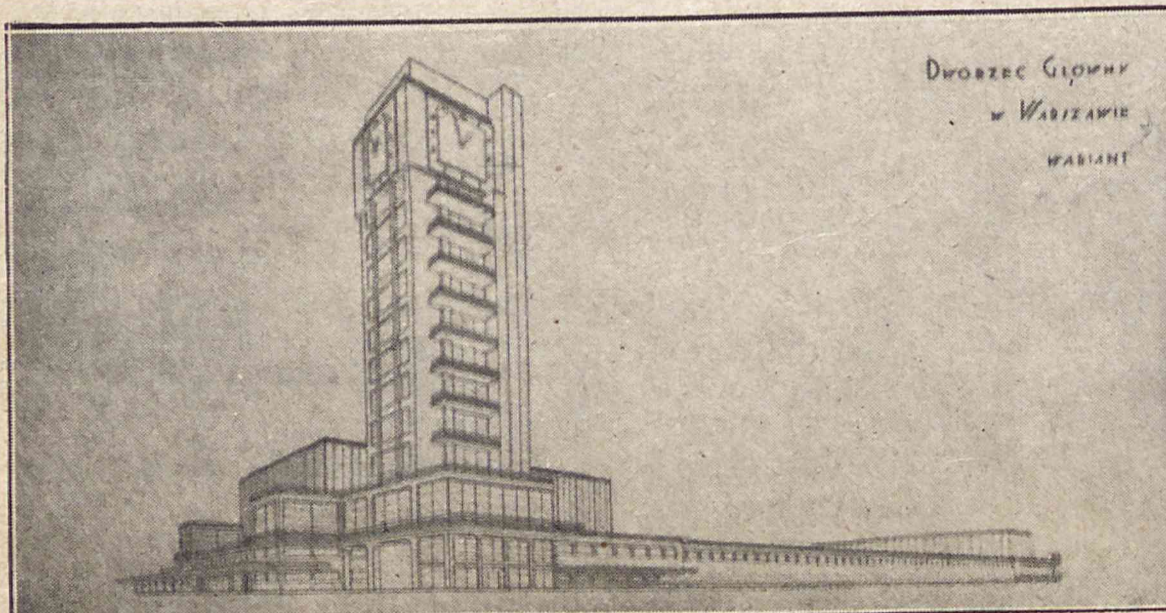
Inż. Czesław Przybylski, Dziekan Politechniki Warszawskiej



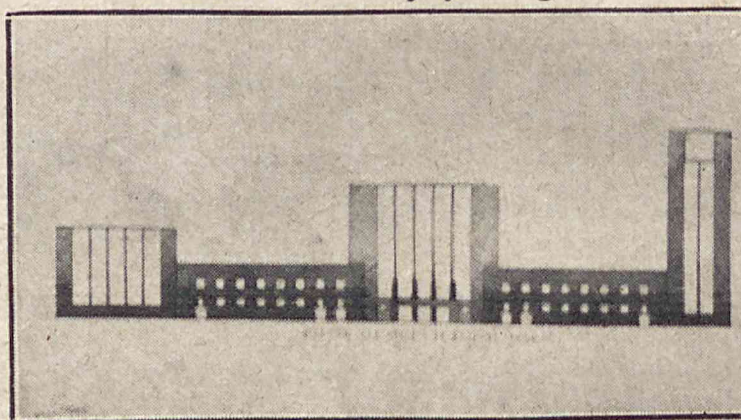
Inż. Juljan Puterman, laureat II nagr. proj. Nr. 24



Elewacja frontowa, proj. Nr. 12 — I nagr. Dziekana C. Przybylskiego



Elewacja frontowa, III nagr. proj. 23 Wacł. Wekera i Mir. Szabuniewicza



Elewacja boczna od Al. Jerozolimskiej II nagr. Nr. 24 proj. inż. J. Putermana



Akt III. Dygas (Zygfryd), Hagen (Michałowski)

Fot. Jan Malarski

„ZMIERZCH BOGÓW" W OPERZE WARSZAWSKIEJ

Ostatni dramat muzyczny olbrzymiej Tetralogji Wagnera z wspaniałego cyklu Nibelunga p. t. „Zmierzch Bogów", wykończony w 1876 r., dzieli od poprzednich trzech dramatów [Złoto Renu, Walkirja i Zygfryd] lat mniej więcej dwadzieścia. W czasie tym wiele zmieniło się i w samym Wagnerze i w historycznych przesłankach, na których opierał się mistrz, pisząc początek cyklu, a kończąc ostatni należący tu dramat. Bernard Shaw, znakomity znawca Wagnera, utrzymuje, że już w „Zmierzchu Bogów" przejawiają się wydatnie pierwiastki odstępstwa Wagnera od wielkich rewolucyjnych „protestanckich" zasad na rzecz mającego rozkwitnąć w Parsiwalu katolicyzmu. Oraz, że właśnie w „Zmierzchu Bogów" rozpoczyna się nieuświadomiony nawet przez samego twórcę, mimowolny nawrót do operowej faktury.

Inni badacze dopatrywali się znów w tym wielkim cyklu pesymistycznej filozofji, biorącej swój początek z Szopenhauera a ostatecznie wymierzonej przeciw postępowi i potężnym zdobyczom organizacji życia ludzkiego, niesionym przez ówczesny socjalizm. Wartość [pierścień], o którą walczą bogowie i ludzie, nie jest istotną i ostatecznie prowadzi do zagłady ludzi i bogów. Poeta nie znajduje wyjścia — pierścień musi utonąć w Renie, musi się stać igraszką ślepych sił przyrody.

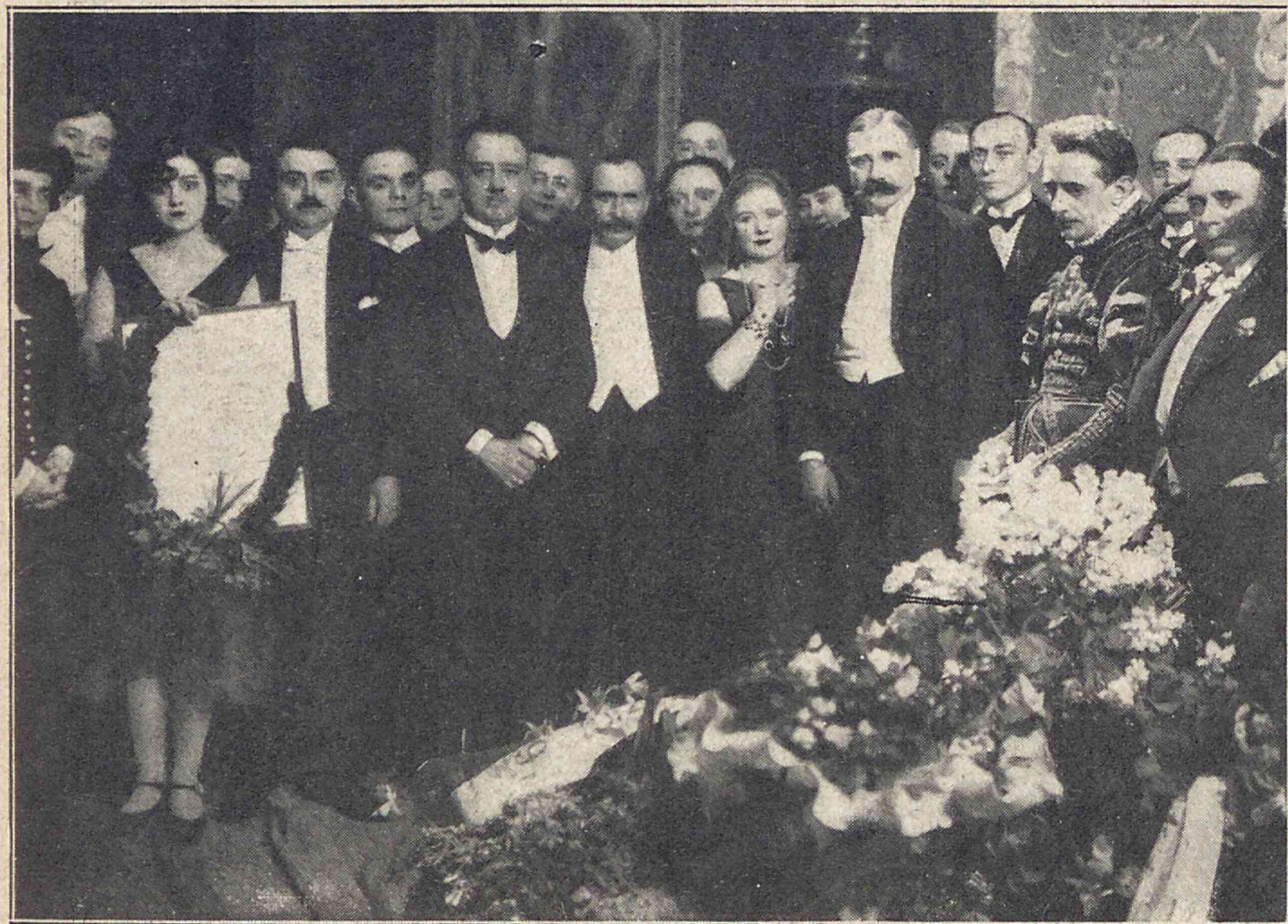
Dziś wszystkie te rozważania utraciły już swą aktualność, chociażby z tej prostej przyczyny, że przestał działać ów czar symboliczny, ów znak umówiony, na który godzili się ludzie, na który godziła się cała Europa w latach wielkiego rozkwitu twórczości Wagnera.

Cóż więc dawało temu tak naiwnemu dziś, tak potężnemu ongiś symbolizmowi Wagnera ową siłę suggestywną? Rozkwit potęgi narodu i rasy, z której sam Wagner pochodził. Autor jedynego wielkiego dramatu muzycznego, który się ostał, autor Nibelungów określił tę sprawę sam w latach sześćdziesiątych. Mówił on wtedy: — „Z odrodzeniem i rozkwitem Niemiec trzyma się, czy też upada ideał mojej sztuki".

„Zmierzch Bogów" w sensie powiększenia wynalazczej treści muzycznej, w sensie przymnożenia motywów i nowych myśli zdobywczych nie przynosi już w porównaniu z trzema poprzedniemi dramatami cyklu wiele nowego. Przynosić zresztą nie może. Wszystkie założenia, cała tkanina została już rozłożona poprzednio. Tu, w „Zmierzchu", — chodzi już tylko o ostateczne przeżycie muzyczne, przetworzenie tego wszystkiego, co powiedziało się wcześniej.

I tu dopiero widzieć, oglądać, podziwiać można z bezprzykładnym zachwytem, jak wielkim, potężnym był muzyk, przetwarzający w ostatecznych założeniach akcji i ekspresji dramatycznej swoje tematy i pomysły.

O ile w poprzednich dramatach cyklu sprawa prowadzących myśli, czy motywów muzycznych [leit-



Reprezentacje artystyczne miejskie składają życzenia J. Węgrzynowi podczas przedstawienia Don - Juana Fot. Jan Malarski

motywy], sprawa t. zw. myślenia i odczuwania za pomocą muzyki — niejednokrotnie jeszcze wikła się, czy też występuje prymitywnie, o tyle w „Zmierzchu Bogów" przysłuchujemy się owej właśnie zespolonej w jedno myśli orkiestralno - tematycznej z najgłębszym a jakże radosnym podziwem!

Polifonja tego dzieła, łącząca się tak ściśle i tak naturalnie z tokiem akcji, świadczy o niebywałej zaiste wnikliwości kompozytora w dziedzinie odtwarzania stanów ducha, charakterów i pewnej, — że się tak wyrazimy, — psychicznej atmosfery całego dzieła. Tematy, które w poprzednich dramatach występowały nieraz zbyt plastycznie, wydobywane z trudem jeszcze i z ciężarem pracy muzycznej—w „Zmierzchu" plotą się już niejako same, stopione w przedziwną, nieuchwytną poprostu wszechobecność.

Wagner - muzyk okazuje się w tem dziele twórcą żywotnym, wspaniałym, najbliższym przyrody, twórcą, który odczucie przyrody doprowadza do potęgi żywiołu.

Opera nasza wystawiła „Zmierzch Bogów" z pietyzmem. Dyrektor Dołżycki wystudjował partyturę sumiennie i naogół powściągnął swe forte do granic, które pozwalały już słyszeć na widowni nie tylko sam śpiew, lecz słowa śpiewu i słowa djalogu. Życzymy p. Dołżyckiemu na tej drodze dalszych sukcesów. Jeszcze mniej brio, — jeszcze więcej rozwagi i ducha w orkiestrze a mniej natężenia.

Dramat muzyczny Wagnera jest przecież kompromisem, — musi być sprawiedliwym kompromisem pomiędzy słowem, gestem a muzyką. Musi się wyjść z tego kardynalnego założenia, że jeżeli śpiewak mówi o Walhalli, a publiczność nie słyszy tych słów, lecz tylko podany w orkiestrze motyw Walhalli, — nie wie, o co chodzi. Czyli, że natężenie orkiestry będzie tu zawsze w zależności od siły głosów. Stosunek ten wymaga wiele pracy, należy sprawdzać z widowni, próbować i temperować dopóty, dopóki właściwa miara nie ustali się. Miarą tą jest nośność słowa w ostatnich rzędach widowni.

W związku z powyższem powstaje — oczywiście, zagadnienie stylu śpiewaczego przy wykonaniu Wagnera. Stylu tego opera warszawska nie ma jeszcze. Dobrym wagnerzystą a przedewszystkiem świetnym śpiewakiem okazał się w partji Zygfryda p. Dygas. Żywy, równy, szlachetny w postaci, szczodry a mądry w szafowaniu głosem nawet w chwilach najtrudniejszych [duet I-go aktu, scena opowiadania o śmierci w akcie III], sprostał zadaniu, jak przystoi wielkiemu artyście. Opowiadanie i scena śmierci w interpretacji Dygasa przynoszą prawdziwy zaszczyt naszej operze.

Rozumie i odczuwa doniosłość wagnerowskiego stylu p. Michałowski [Hagen], skoncentrowany doskonale w ekspresji ciemnego, sprężystego swego głosu, niedość jeszcze wypukły w rzeźbie poszczególnego słowa. Radosną niespodziankę sprawiła wszystkim p. Jaroszówna, która z ogromnej parji Brunhildy wywiązała się pod względem śpiewaczym doskonale.

Sporo zastrzeżeń należy uczynić reżyserji: Dzwonki, które słychać na widowni przed zapadnięciem się Norn, koń, miotający się niepotrzebnie przy duecie w I-ym akcie, Ren, który płynie tylko wtedy, gdy mu każą, lub gdy o nim mówią, niepomiernie brzydko i pospolicie podane Córy Renu [zmienić koniecznie tę widokówkową stylizację!], pomadkowe kolory kostjumów — wszystko to wymaga zmiany.

Są to jednak w porównaniu z całością — szczegóły. Całość widowiska przyjęła publiczność nasza ze szczerym, pięknym entuzjazmem. Należał się on wykonawcom i raz jeszcze potwierdza, co mówiliśmy niejednokrotnie na tem miejscu: Opera nasza, gdy daje istotne wysiłki artystyczne, — znajduje zawsze przyjaciół i uznanie.

Juljusz Kaden-Bandrowski

Z MUZYKI



Zbigniew Drzewiecki, znany pianista, dał ostatnio szereg recitali w Warszawie, Krakowie, Lwowie i in. — gdzie przyjmowano świetnego artystę z wielkim entuzjazmem. Krytyka stawia go jednomyślnie w rzędzie najwybitniejszych pianistów. Obecnie Zbigniew Drzewiecki wyjeżdża na tournée zagranicę — do Göteborga, Stokholmu, Paryża i Lipska



Dekoracja zasłużonych rolników Krzyżem Zasługi na Zamku Fot. Photo-Plat

Drobiazgi teatralne

BOHATERSTWO OBOWIĄZKU NA SCENIE

Nigdzie zapewne nie uwydatnia się tak silnie poczucie obowiązku, jak w teatrze. Kontrast jest bardzo jaskrawy. Z jednej strony tłum, żądny zabawy, śmiechu. Z drugiej — aktor, człowiek, który, jak każdy inny, bywa dotknięty ciężkim bólem moralnym, dotkliwem cierpieniem fizycznem. Musi je opanować. Musi zadać gwałt duszy czy ciału, — bo nie wolno mu „zerwać spektaklu". Przykład tego wyjątkowego poczucia obowiązku dał niedawno Osterwa. Dotknął go cios straszliwy. Śmierć zabrała mu ukochaną żonę, w kwiecie wieku. I tegoż dnia, wieczorem, Osterwa grał „wesołą" rolę w „Bracie Marnotrawnym", budząc radość na widowni. Można-ż sobie wyobrazić więcej przejmujące, okrutniejsze przeciwieństwo?

Dużego hartu i wytrzymałości złożyły w ostatnich dniach dowody panie Chaveau i Lenerówna, występujące obecnie w Teatrze Letnim. Pierwsza pewnego ranka złamała bardzo boleśnie rękę. Druga, przed przedstawieniem, zraniła się bardzo dotkliwie w nogę. Obie stawiły się o właściwej godzinie za kulisami, obie, mimo okropnego bólu, bawiły publiczność, która zgoła nie domyślała się niczego. Ani jedno przedstawienie „Panienki z dancingu" nie uległo przerwie.

Byłożby to poczucie obowiązku w tym stopniu możliwem, gdyby nie łączyło się z niem głębokie umiłowanie teatru i jego sztuki?

NOWY POSEŁ JUGOSŁOWIAŃSKI W WARSZAWIE



Dr. Branko Nazarewicz

WYRÓŻNIENIE WICE-DYREKTORA BANKU POLSKIEGO



Dr. Feliks Młynarski, wice-prezes Banku Polskiego, powołany ad personam w charakterze członka do komitetu finansowego Ligi Narodów

NOWY KIEROWNIK MINISTERSTWA SKARBU



Dr. Tadeusz Grodyński

Drobiazgi teatralne

NOWA SZTUKA LANGERA W PRADZE.

Franciszek Langer, autor granego niedawno w Teatrze Polskim „Przedmieście", wystawił obecnie w teatrze praskim na Vinohradach sztukę pod tytułem: „Nawrócenie Ferdysza Pistory".

Akcja sztuki rozgrywa się w podobnem środowisku, jak „Przedmieście". Autor stwierdził w wywiadzie z przedstawicielem „Prager Presse", że pociąga go to środowisko swoją barwnością gwary, nieskomplikowanemi charakterami i licznemi innemi cechami, którychby daremnie szukał u innych warstw społecznych.

Nowa sztuka Langera spotkała się z życzliwem przyjęciem publiczności i prasy.

Mimo to Langer zamierza zdradzić teatr dla twórczości powieściowej! Kończy właśnie powieść: „Cud rodziny" i tomik opowiadań filatelistycznych. Już od dwóch lat pracuje nad temi książkami.

Powieść pociąga go o wiele więcej, aniżeli teatr.

O swym systemie pracy Langer oznajmił: „Zazwyczaj rozpoczynam kilka rzeczy równocześnie, bardzo często przerywam pracę na drugim akcie, o ile robota nie idzie mi dobrze. Z chwilą zaś gdy znajdę temat, który mnie pociąga, poświęcam mu wówczas przeważnie całoroczną pracę, bo tyle właśnie czasu potrzeba mi zazwyczaj na napisanie sztuki. Byłoby to może inaczej, gdybym najpiękniejszych godzin dnia nie był zmuszony spędzać w koszarach!

Dr. Langer jest bowiem lekarzem wojskowym.

AUTOR I CZYTELNIA

Powtórzymy za Wacławem Grubińskim, że pomysł to doskonały, aby autor pobierał tantjemę od każdego wypożyczenia jego książki w czytelniach. Właśnie na łamach *Kurjera Warszawskiego* autor *Kochanków* zamieścił feljeton pt. *„Autor i czytelnia"* i w tym fejletonie przytacza projekt, wniesiony do parlamentu francuskiego. Pisarze francuscy chóralnie przyklasnęli temu projektowi. I nasi pisarze powinni się postarać o wniesienie do Sejmu analogicznego projektu prawa o tantjemie autorskiej w czytelniach. Czytelnia jest, jak teatr. Za przedstawienie komedji autor otrzymuje tantjemę. Za wręczenie do przeczytania powieści, czy tomu nowel, czy dramatu (w czytelniach publiczność bardzo chętnie wypożycza utwory sceniczne), powinien właściciel czytelni, niczem dyrektor teatru, wypłacać literatom maleńki procent, pobierany od „konsumentów".

Sprawą tą wypada, aby się zajęły związki literackie. Zwracamy na nią uwagę prezesowi Zawodowego Związku Literatów, p. Wacławowi Sieroszewskiemu, i prezesowi Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy, p. Leopoldowi Staffowi. W Sejmie zasiada autor *Wiernej kochanki*, pan poseł Fijałkowski. Miejmy nadzieję, że i on się tą sprawą zainteresuje.

PODSTAWĄ TEATRU — SZTUKA DRAMATYCZNA!

Znany włoski krytyk teatralny, Silvio D'Amico, w świetnym odczycie, wygłoszonym w Neapolu: „O teorji współczesnej inscenizacji", analizując poszczególne kierunki i zagraniczne prądy teatralne, szkodliwe przeważnie dla teatru, jego zdaniem, wystąpił najwyraźniej w obronie sztuki dramatycznej, usuniętej przez wielu reformatorów teatru współczesnego na plan drugi i uważanej przez nich (vide Anton Giulio Bragaglia) li tylko jako kanwa dla koncepcji reżysera.

Świetny ten znawca teatru nie godzi się przedewszystkiem na despotyzm współczesnego reżysera. Dla niego czynnikiem najważniejszym w teatrze jest sztuka, a potem aktor, jako jej wykonawca. I w tym duchu powinna nastąpić reorganizacja teatru włoskiego, który zdaniem jego utyka z powodu złej i nieodpowiedniej gry. Teatr włoski, twierdzi D'Amico, nie uczynił żadnych postępów od czasów Goldoni'ego!

Silvio D'Amico, człowiek o szerokiej wiedzy, zachęca do szczegółowego zbadania i poznania zdobyczy zagranicznych w dziedzinie teatru. Twierdzi, że teatr włoski powinien szukać własnych dróg i że powinien być przedewszystkiem doskonałem uzupełnieniem pracy twórczej poety.

(fr. s.).



MROZY W EUROPIE





Riwiera pod śniegiem: Angielski bulwar w dni mrozu

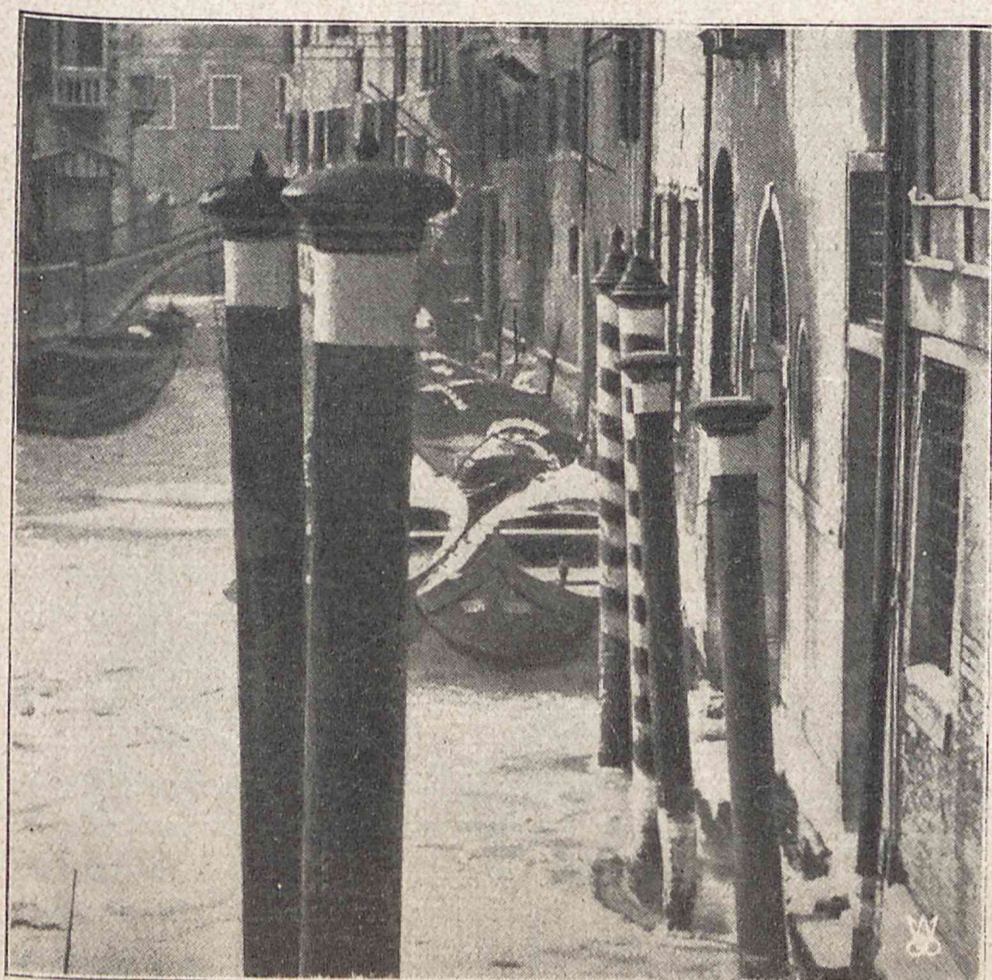
Podczas mrozów w Berlinie tak dalece zbrakło węgla, że wydawano go za kartkami, jak w czasie wielkiej wojny

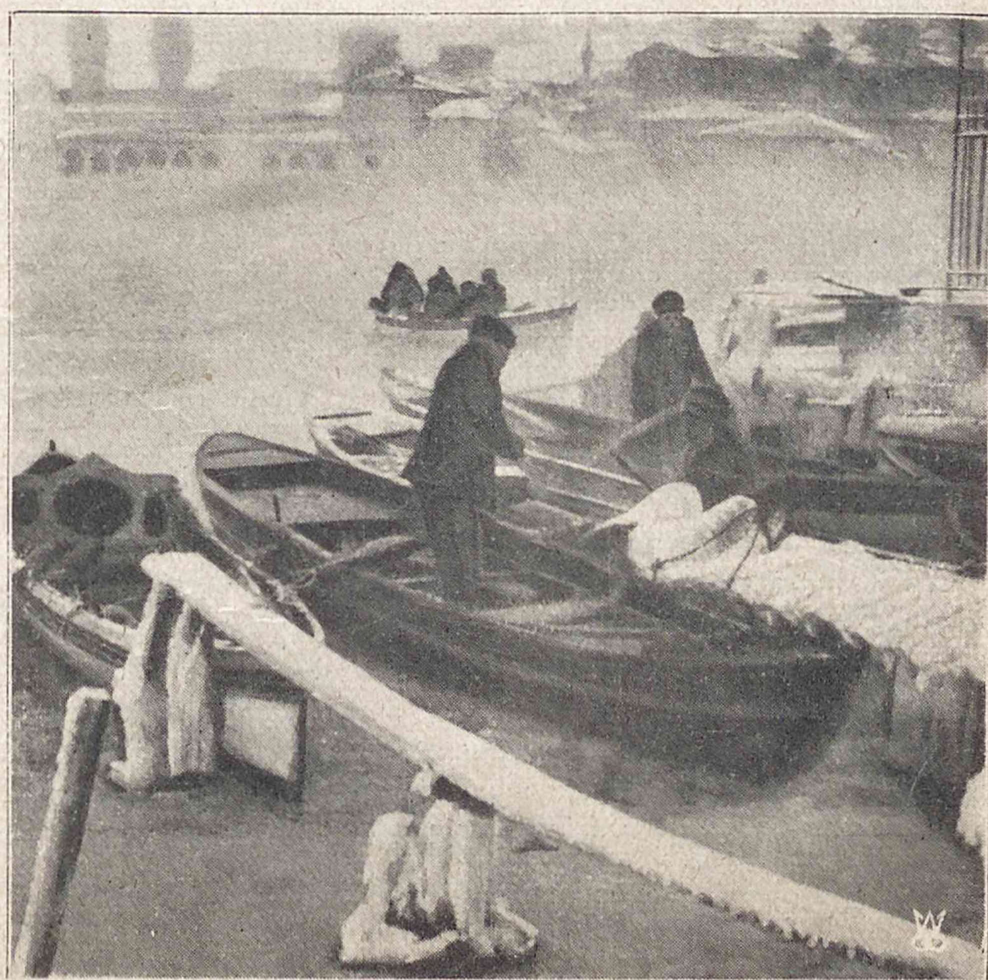


Park w Monte-Carlo pod śniegiem

Złoty róg w Konstantynopolu pokryty krami i śniegiem

Wenecja: zamarznięty boczny kanał





Migawki Warszawskie

Miss Polonia i Miss Europa

CZĘŚĆ I-sza.

MISS POLONIA.

Góra z górą się nie zejdzie, ale sąsiad z sąsiadem zawsze. Nic więc dziwnego, że pan Puternicki spotkał się z panem Fiutkiewiczem w handelku.

— No i co radca powiesz na ten skandal? — zagadnął pan Puternicki.

— Z tym podatkiem mieszkaniowym?

— To swoją drogą! Ale ja narazie mówię o tej miss Polonji.

— Ano słomiany ogień, jak to u nas zwykle.

— Zawrócili biednej dziewczynie gitarę, wozili sleepingami zagranicę, a co dalej?

— Cóż ma być dalej? Zobaczyła Paryż, rozerwała się, poznała tamtejsze stosunki, zwiedziła teatry, to źle?

— E, ja sąsiadowi powiem, że to nie był szczęśliwy pomysł. Jeśli już chcieli imponować, powinni byli posłać moją Cesię. To panie jest typ prawdziwej polki! Krew z mlekiem! Nie dlatego mówię, że jestem jej ojcem.

— Dajże sąsiad pokój. Panna Cesia jest sobie niczego, ale nosek ma zadarty. Pozatem krępa, mała.

— A pan by chciał, żeby była jak wieża ratuszowa?

— Nie jak wieża ratuszowa, ale i nie jak bania karmelicka.

— Cóż to za gadanie?

— Co za gadanie? Kobieta piękna musi mieć linję.

— Jaką u djabła linję?

— No, figurę, jeżeli pan woli.

— Moja Cesia nie ma figury? A czy pan wiesz, że Słowikowski, co ma dwie kamienice, chciał się z nią żenić? A Zajączkowski obiecywał, że się z miłości otruje.

— To zupełnie inna para rękawiczek. Cóż to ma do figury?

— Gdyby nie była piękną, to by na nią nie lecieli.

— Radca nie rozumie. Może sobie być miła dziewczyna z wabikiem, ale nie na konkurs.

— Niby dlaczego?

— Bo na konkurs musi być wszystko, jak się patrzy, eff, eff, pierwsza klasa. Nie można mieć w jednem miejscu za dużo, a w drugiem za mało.

— A w jakiem że to miejscu ona ma za dużo, chciałbym wiedzieć?

— Ja panu nie powiem, bo toby nas zadaleko zaprowadziło.

— Także opowiadanie. Dziewczyna, jak rzepa.

— Właśnie, zadużo tej rzepy. Jak będzie wystawa ogrodowizny, to pan może swoją Cesię posłać, lecz nie na konkurs piękności.

— Patrzcie państwo.

— A tak, niema się o co gniewać. Jeśli chodzi o prawdziwy typ nieskazitelnej piękności, to tylko moja żona kwalifikowałaby się na miss Polonję.

— Aha, tu cię boli!

— Tak, panie! Nie dlatego, że to moja żona...

— Nie dlatego, naturalnie!

— Wysoka, majestatyczna, kiedy idzie przez ulicę, ludzie dębieją.

— Dajże pan pokój, bo pęknę ze śmiechu.

— Niby dlaczego?

— Przecież pańska żona wygląda, jak wygłodzona żyrafa. Nos długi, brwi jak szczotki. Ręczę, że sędziowie na jej widok pouciekaliby ze strachu.

— Czy pan sobie za dużo nie pozwala?

— Niema się o co gniewać? Może pan posłać swoją żonę, jak będzie u Barycz-ków wystawa antyków, ale nie na konkurs piękności.

— A pan swoją Cesię na wystawę inwentarza... W sam raz dziewuchna do dojenia krów.

— Zato pańska gidja jest wzorem piękności! Trzeba być kretynem, żeby tego nie widzieć.

— Trzeba być idjotą, żeby wysyłać beczkę na konkurs piękności! Kelner, płacić!

— Kelner płacić!

— Bałwan!

— Cymbał!

Sąsiedzi rozeszli się bardzo zdenerwowani.

CZĘŚĆ II-ga:

MISS EUROPA

Właściciel atelier fotograficznego na Woli przechadzał się dużemi krokami po *pokoju*, zdradzając silny *niepokój*. Wyczekiwał klijentów. Nareszcie rozległ się upragniony dzwonek.

Wszedł pan Kostek w czerwonym szaliku i panna Mania w modnej apaszce na szyi. Pan Kostek przywitał fotografa.

— Dzień dobry. Czy sam pan *antelier* fotograficzny?

— Do usług — odrzekł mistrz.

— To właśnie, proszę pana *anteliera*, moja narzeczona — tryumfująco zawołał pan Kostek, przedstawiając pannę Manię.

— Rozumiem. Więc zapewne gabinetowa, przedślubna?

Panna Mania oburzyła się.

— Tylko nie gabinetowa. Uczciwa panna jestem. Po gabinetach się nie włóczę. A przed ślubem nic z tego nie będzie.

— Ale ja mówię o fotografji.

— No właśnie — wtrącił Kostek. Bo ja chcę pannę Manię wyrychtować na tę miss Europę do Paryża. Co to, panie, za porządki, żeby jakaś węgierska żydówka brała nagrodę! Co jest?

— Zdaje mi się, — rzekł nieśmiało fotograf — że konkurs piękności już się odbył.

— No to co? Ale mojej Mańki nie widzieli. A jak zobaczą, to zaczną na nowo. Tylko niech się pan do niej ostro weźmie.

— Panie Kostek, cóż to znowu ma być? — zawołała panna Mania.

— Co ma być. Nic niema być, tylko, żeby fotografja dobrze wyszła.

— Jak pan sobie życzy? Profil czy en-face, czy en trois cartes?

— E, profiela nie. To już lepiej ta trója z kart. Bo my czasem gramy w sechcyka. Panie fotograf, niechno pan zajrzy w tę gębę. To mówiąc, zbliżył się do panny Mani, która wyszczerzyła ząbki z uśmiechem.

— Co to za zęby — zawołał z zachwytem. Takich napewno i w Paryżu nie widzieli.

— Ośmielę się zwrócić uwagę, — rzekł fotograf — że oczy, jakkolwiek piękne, ale mogą być przeszkodą. Gdyż jedno, jak to mówią, patrzy na Nową wieś, a drugie na Krowodrzę.

— Panie fotograf, tylko bez dowcipów. O krowach to pan sobie może ze swoją ciocią pogadać.

Kostek przerwał dysputę.

— Panie fotograf! A widział pan te włosy? Tego żaden grzebień nie chyci. Z tych loków możnaby dwa materace zrobić, i jeszczeby na poduszkę zostało. Panie, a te plecy, co? murowane.

— Cóż pan Kostek mnie tak zachwala, jak cygan konia na jarmarku.

— Pan antelier musi wiedzieć, co i jak, żeby dobrze wyszło.

— Ja myślę, że najlepiej zrobimy tylko sam biust — rzekł pan fotograf.

— Pan zwarjował? Sam biust bez głowy? Europa bez głowy. To nie idzie, chociaż biuścik jak żelazo beton.

— Nie, nie, owszem z głową, tak do połowy.

— A idźże osoba. Dlaczego do połowy? kiedy ja płacę za całą. A nogi to pies? Spójrz pan na te nogi. Z jednej możnaby dziesięć takich patyków zrobić, co to niby teraźniejszym pannom pedały zastępują. To się przecież musi w Paryżu pokazać. Niech wiedzą, że my tu na mocnych nogach stoimy.

— Więc jaką pozę wybieramy?

— Jabym chciała z wachlarzem.

— Dziś wachlarze niemodne.

— To z kwiatami.

— Tak, tak — zawołał pan Kostek — z kwiatami. Klawo! Najlepiej z lelją w ręku.

— Dobrze, niech pani się oprze o ten filar.

— Morowo! — wołał pan Kostek uciesz ony. Tylko niech pan dobrze kręci, bo jakbyśmy nie dostali nagrody, to ten cały pański interes w drobne kawałki rozwalę.

Wincenty Rapacki

KAWIARNIE I CUKIERNIE WARSZAWSKIE

Skończył się okres małych zacisznych cukierenek, w których w południe spożywano „białą“ z ciastkami, a po południu i wieczorem — „czarną“ z gazetami, czasem z partyjką szachów. Tu i owdzie przy suchym łoskocie bil bilardowych.

Warszawa posiada teraz wciąż rosnącą liczbę wielkich kawiarni i cukierni, wypełnionych od rana do wieczora publicznością. Przy dźwiękach rozgłośnych jazz-bandów wre w tych lokalach życie iście wielkomiejskie. Mieszkańcy stolicy przyzwyczajają się do szukania rozrywki i wytchnienia po za domem: sprawiają to w niemałej mierze okropne warunki mieszkaniowe. I każda z większych kawiarni i cukierni warszawskich nabiera własnego indywidualnego charakteru. W każdej gromadzi się inna sfera publiczności, w każdej panuje swoista, odrębna atmosfera zainteresowań.

„Ziemiańska“, ongi „mała“, teraz znacznie powiększona, gromadzi publiczność przeważnie z kół artystyczno-literackich, zwłaszcza młodszej generacji, oraz inteligencji pochodzenia semickiego. Tutaj można dowiedzieć się wszystkich plotek, tutaj lęgną się złośliwe koncepty, obiegające później Warszawę.

Nasz rysownik, Jotes, ostrem swem piórem skreślił kilkadziesiąt sylwet stałych gości, uporczywych „Ziemian z Mazowieckiej“. Kto odcyfruje wszystkie nazwiska?

„Ziemiańska“ dla Warszawy jest mniej więcej tem, czem „La Rotonde“ jest dla Paryża.



„ZIEMIAŃSKA“ W PORZE PRZEDWIECZOROWEJ

Z NAJNOWSZEJ LITERATURY FRANCUSKIEJ

Jak zwykle prawie w ostatnich latach, tak i tego roku wielkie „prix" zawiodły, nie przynosząc nic bardzo wykraczającego poza granice niezłej, średniej literatury. Constantin Weyer, laureat „prix Goncourt" z bardzo chwalebną, ale mniej interesującą intencją kreśli w „Człowieku, który pochyla się nad swoją przeszłością", znane już z wielu powieści współczesnych życie na tle surowej przyrody i walkę z nią. Dominique Dunois, laureatka nagrody damskiej w powieści „Georgette Garou", opowiada nam dzieje wiejskiej heroiny, która najpierw dla głodu ziemi stara się o zapewnienie sobie potomstwa, poczem, zniechęcona plotkami i sądami ludzkiemi, porzuca i ziemię i potomstwo i odchodzi w świat za szczęściem i za miłością.

Odłożywszy na bok Kanadę, bardzo modną od czasu „Marji Chapedelaine", powieści egzotyczne à la Moraud, choć ostatnio „Czarna Magia" tego autora należała do najlepszych książek sezonu, mamy jeszcze bardzo popularny obecnie temat podwójnego życia i podwójnej osobowości — jednej i tej samej istoty. Temat bezwątpienia bardzo ciekawy, chociaż bardzo niebezpieczny. Ostatnio zajmuje się nim Kessel, znany autor „Ślepych monarchów" (Les rois aveugles) i „Equipage" w swej ostatniej powieści „Belle de Jour", którą drukuje interesujący, świeżo stworzony tygodnik, bardzo paryski „Gringoire". W „Belle de Jour" widzimy kobietę piękną, wykształconą, subtelną, wykwintną, jednem słowem, kwiat kultury i wdzięku, zakochaną szczerze w swym mężu, zdolnym chirurgu i mimo to szukającą wrażeń w domu schadzek najpodlejszego gatunku. Podwójna osobowość, rozłam ducha i materji. Naturalnie, wynika stąd mnóstwo powikłań i bolesnych niespodzianek i dla samej bohaterki powieści i dla jej otoczenia, ale mimo barwnego opowiadania i żywo toczącej się urozmaiconej akcji, czuje się bezustannie, że autorowi chodzi li tylko o proces psychologiczny, rozgrywający się, w duszy i w sercu Seweryny, takie bowiem imię nosi bohaterka romansu.

W podobny sposób zapatruje się również na rzeczy młody laureat nagrody Fignière, Emmanuel Bove, autor „Miłości Piotra Neuhardt". Choć opracowanie tematu jest wprost przeciwne, prawie niema akcji, na wszystko, co się dzieje, czytelnik patrzy przez pryzmat myśli bohatera powieści, zakochanego w tajemniczej Elianie. Ma się wrażenie stale, że ani Eliana nie rozumie Piotra, ani Piotr Eliany, ale, że również żadne z nich nie rozumie samego siebie. I tu choć niema podwójnego życia, jest jakieś dziwne rozdwojenie dusz, niemoc wobec innych i wobec siebie. I tu też na pierwszym planie wysuwa się proces psychologiczny, rozgrywający się w duszy Piotra Neuhardt'a. Sylwetka Eliany więcej zwiewna, mniej jasno zarysowana, niż Sylwetka Seweryny, usuwa się na drugi plan, interesuje nas tylko pośrednio.

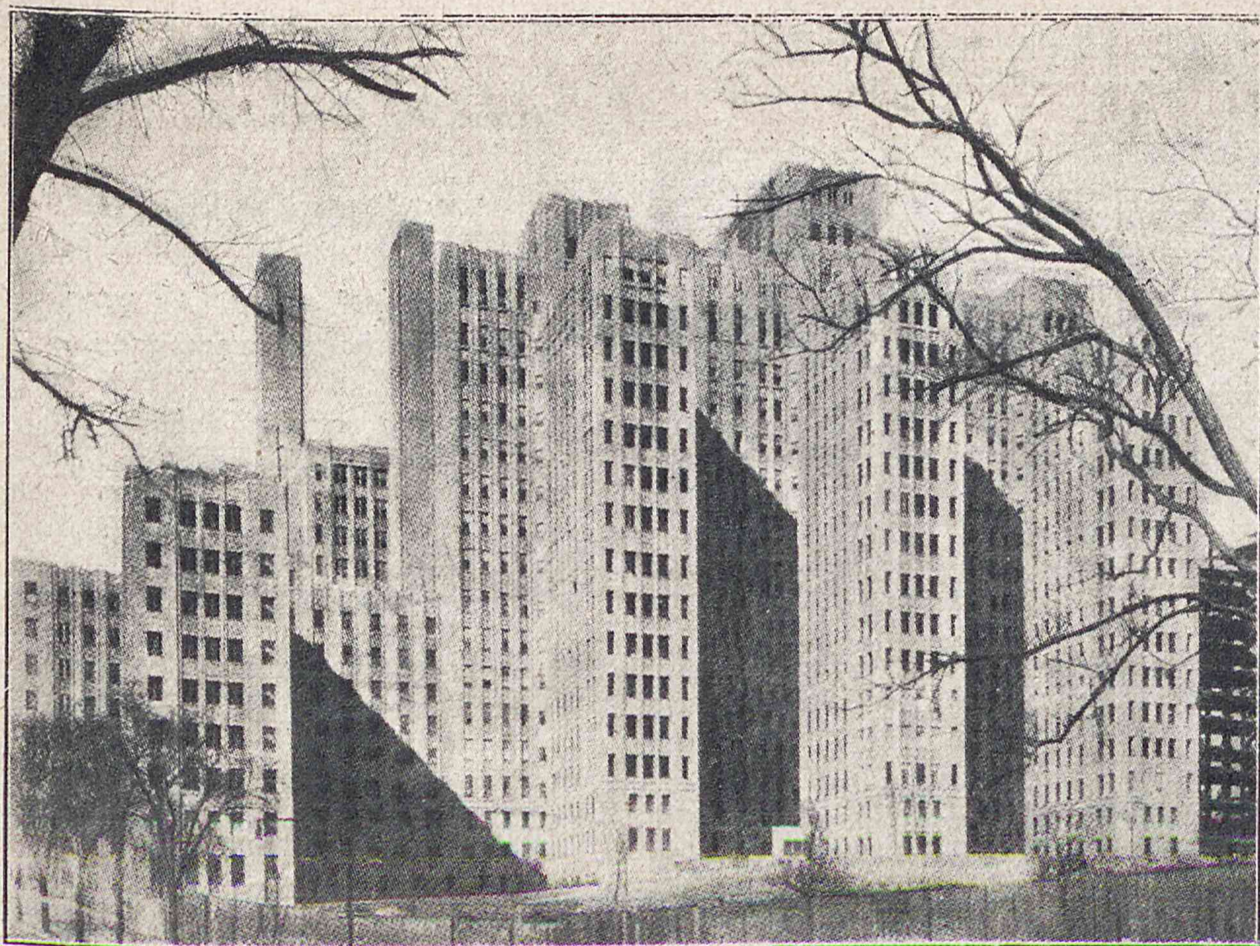
Do bardzo ciekawych powieści psychologicznych należy świeżo wydana „Bléche", znanego autora powojennego Drieu la Rochelle. Budowa powieści pozostawia może czasem trochę do życzenia, ale zapomina się o tem z łatwością wobec innych jej zalet. Bohaterem jej jest niejaki Blanquans, redaktor konserwatywnego i katolickiego pisma, ale właściwie rodzaj życiowego estety, układającego ze swych wrażeń starannie kolekcjonowanych i dobieranych, a w potrzebie prowokowanych, bukiet nakształt bukietu z rzadkich kwiatów. Jest coś sztucznego w naturze tego człowieka, który kocha się w komplikacjach i celuje w zagmatwaniu ich tak umiejętnie, że wkońcu sam dobrze nie wie, czego chce i o co właściwie mu chodzi. A mimo to powieść czyta się z ogromnem zajęciem, bo autor umie stwarzać jemu tylko właściwą atmosferę, w którą czytelnik zrazu pogrąża się z pewnem niedowierzaniem i niechęcią, ale później trudno mu się z nią rozstać.

Niezmiernie interesującem studjum psychologicznem jest powieść znanego autora katolickiego, Louis Artus, napisana przy współpracownictwie Alberta Touchard, „Czerwony Statek". Chodzi niby o powieść fantazyjną, powieść przygód, a właściwie mamy tu próbę analizy duszy rosyjskiej współczesnej, takiej, jaką zrobił ją, lub raczej wykoleił ją, bolszewizm. Właściwie nie zmieniło jej to wiele, jest tak, jak dawniej, niepohamowana w swych chęciach i uczuciach, z których, jak dawniej, nie zdaje sobie sprawy dokładnie. Bohaterem powieści jest kapitan „czerwonego statku" rosyjskiego, były arystokrata rosyjski, z pewnym trudem znoszący jarzmo systemu bolszewickiego. Gra, pije, stara się nie myśleć i naturalnie myśli chorobliwie, bezustannie. Wreszcie pewnego dnia załamuje się jego sztucznie utrzymywana równowaga i kapitan „czerwonego statku" bombarduje bez żadnego powodu niewinną wyspę, rodzaj małego Monte - Carlo z domem gry. Może w ten sposób zniszczył swoją karjerę, może zgubił się... Mniejsza o to, nie mógł inaczej.

Sowieckiemu bohaterowi autor przeciwstawia postać wschodniego książątka, rzecz dziwna, bliższą naszym koncepcjom europejskim, niż pseudo-bolszewik rosyjski.

Dr. M. Kasterska

Paryż



Szpital - olbrzym „Medical Centner" w Nowym Jorku

TIME IS MONEY

METAMORFOZY DRAPACZY NIEBA

Ojczyzną drapaczy nieba jest, jak wiadomo, Nowy Jork. Przyczyną pierwotną, jaka spowodowała wznoszenie tych olbrzymich gmachów, był mały obszar miasta. Rzeczywiście, Nowy Jork, ściśnięty między dwiema odnogami Hudsonu, oddalonemi od siebie średnio o 3 klm., nie mógł myśleć o podziale swego życia handlowego, o utworzeniu drugiego centrum po drugiej stronie rzeki, której szerokość przekracza kilometr. Mogło istnieć tylko jedno środowisko interesów. Była niem dzielnica Mahathan na wschodnim krańcu Nowego Jorku. Tutaj zdawna zgrupowały się banki, towarzystwa nawigacyjne, towarzystwa asekuracyjne itp. Z czasem dzielnica okazała się za mała, by pomieścić rozrastający się świat interesów. Wówczas to wyłoniła się konieczność powiększania budowli na wysokość, aby zyskać teren dla nowych przybyszów i dla rozwoju interesów. Powstały pierwsze drapacze nieba.

Te drapacze nieba okazały się w praktyce tak cudownemi narzędziami pracy, że Ameryka buduje obecnie corocznie setki takich gmachów, nietylko w centrach wielkich miast, nie mówiąc już o Nowym Jorku, ale wszędzie, w całym kraju, nawet tam, gdzie jest nadmiar placów budowlanych i gdzie ziemia ma małą wartość. Okazały się one doskonałemi narzędziami pracy z tego względu, że przenoszenie się personelu w kierunku pionowym, zapewnione w każdym budynku przez dziesiątki wielkich wind szybkobieżnych, jest stokroć szybsze, niż w kierunku poziomym, dla którego nie znaleziono jeszcze dość szybkich sposobów komunikacyjnych na niewielkie odległości. Organizacja taka daje ogromne korzyści, jest ona świetnem rozwiązaniem zasady: Time is money. Czas to pieniądz!

Drapacze nieba są więc obsługiwane przez windy dwóch typów: zwyczajne i pospieszne. W każdym gmachu kieruje niemi starter i jego pomocnicy, którzy dozorują cały personel służbowy. Ułatwia to czynność przenoszenia się do tego stopnia, że w wielkich gmachach, w których gromadzi się do 15.000 urzędników, wystarcza niespełna trzy minuty, aby przenieść się z któregoś miejsca do innego najbardziej odległego. Komunikowanie się w tych warunkach szefów największych przedsiębiorstw z personelem jest niezmiernie ułatwione. Biorąc w rachubę rozmaite zastosowania systemu pionowego, np. windy ciężarowe, listowe itp., można sobie zdać sprawę z nadzwyczajnej oszczędności czasu, uzyskanej dzięki temu.

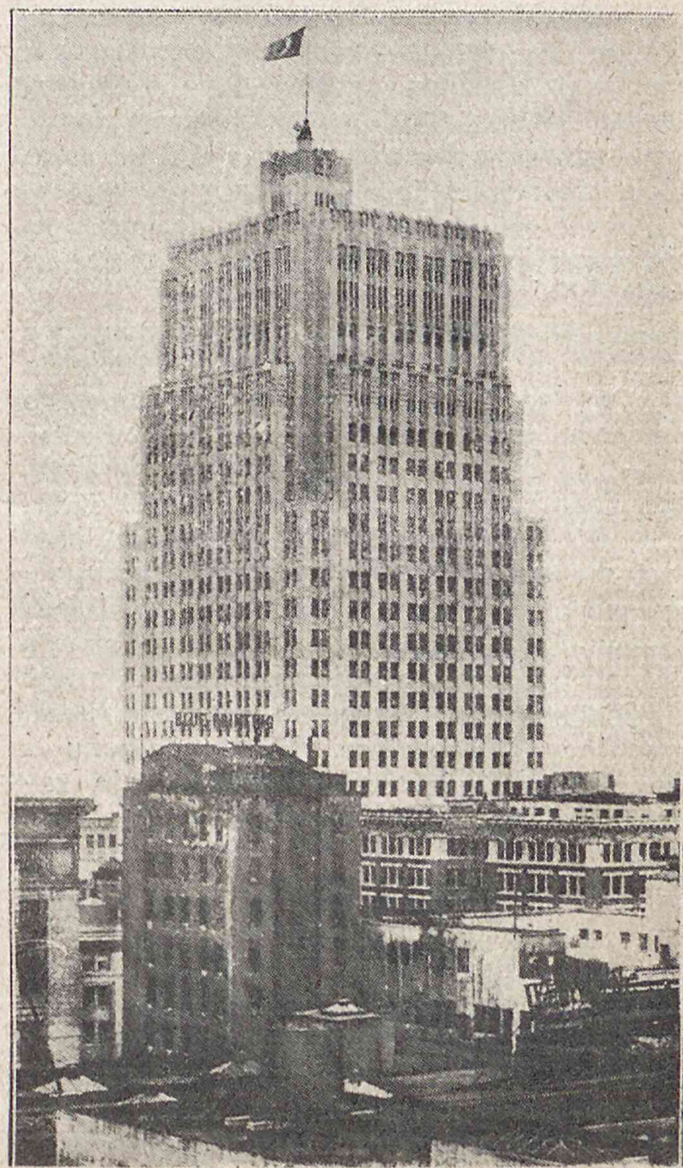
Ten zysk na czasie jest dzisiaj główną przyczyną budowania wielkich gmachów w okolicach podmiejskich, gdzie ceny ziemi nie są bynajmniej wysokie. Jako przykład może posłużyć budowany obecnie w Nowym Jorku „Medical Center" wedle planów architekta Gamble Rogersa z inicjatywy i pod kierunkiem d-ra Burlingame'a. Celem d-ra Burlingame'a przy zaprojektowaniu tego szpitala - olbrzyma było doprowadzenie do minimum straty czasu lekarzy i personelu, a dzięki temu zmniejszenie ogólnych kosztów leczenia pacjenta, przy jednoczesnem udoskonaleniu opieki nad chorymi.

W szpitalu „Medical Center" zastosowano francuski system małych sal. Każde piętro jest podzielone na serje małych szpitalików, wiodących odrębny żywot. Każdy z nich składa się z hallu, urządzonego niezwykle wykwintnie, z poczekalni dla odwiedzających, z dwóch małych 6—8 łóżkowych sal, kilku oddzielnych pokoików, biura dla głównego lekarza, sal sterylizacyjnych i opatrunkowych, pomieszczeń dla personelu zakładu i spiżarni. Każdy chory w szpitalu ma wrażenie, że przebywa w małym domu zdrowia, pełnym komfortu, wygody i ciszy. Koszty prowadzenia zakładu zostały znacznie zmniejszone przez racjonalną organizację poszczególnych oddziałów, sal operacyjnych, sal do badań specjalnych itp. W niewielkiej ilości służą one całemu olbrzymiemu przedsiębiorstwu, chorych zaś przewozi się szybko pospiesznemi windami do odpowiedniego lokalu. Personel lekarski nie potrzebuje tracić czasu na przechodzenie z jednych pawilonów do drugich, nierzadko bardzo odległych w szpitalach zwykłego typu. Specjalne windy przenoszą lekarza, jego pomocników i pielęgniarki z błyskawiczną wprost szybkością z miejsca na miejsce.

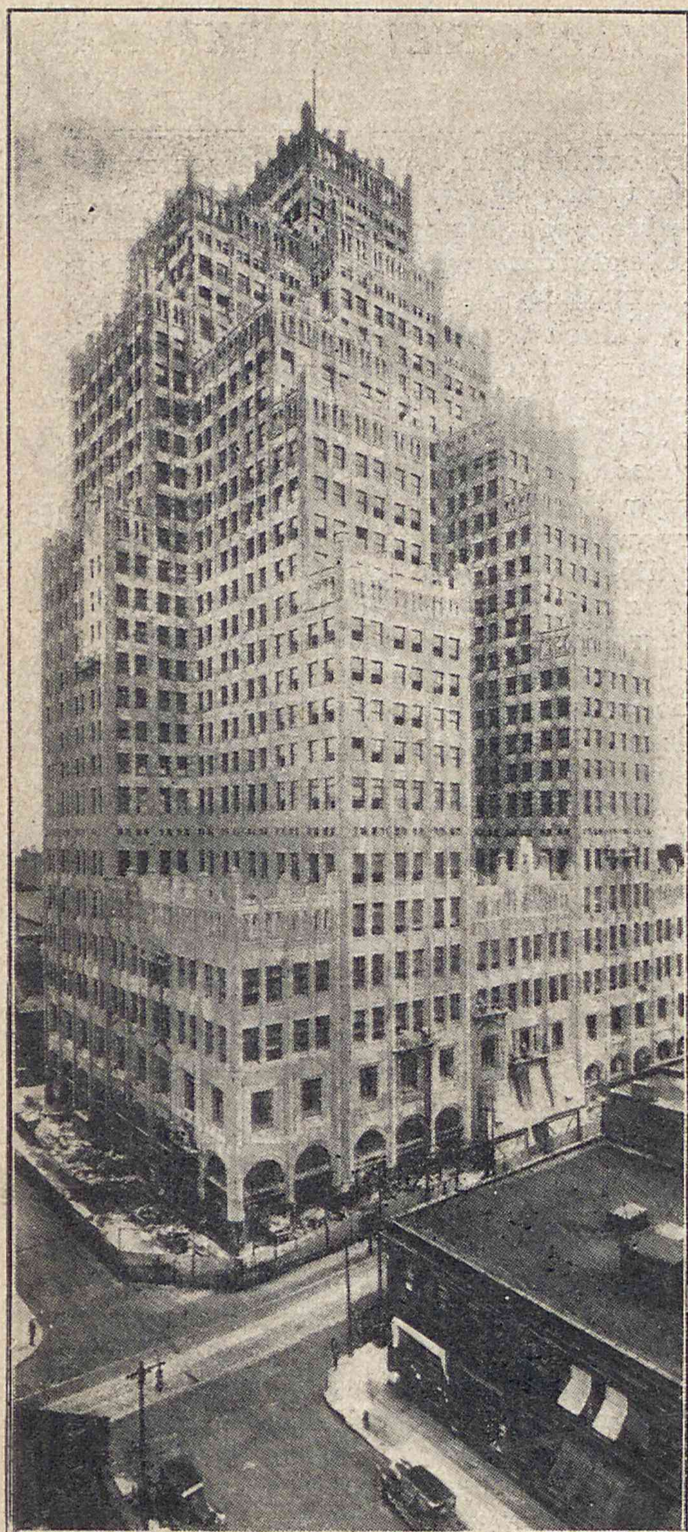
Takich przykładów podobnych skupień pionowych dla oszczędności czasu możnaby przytoczyć setki. Jednym z najbardziej typowych i interesujących jest gmach Nr. 101 przy Park Avenue w Nowym Jorku. Jest to centrum architektury, w którem zgrupowała się większość architektów Nowego Jorku. Powstanie swoje zawdzięcza ten gmach inicjatywie p. Murchisona, prezesa Ligi architektów, który dla swojej idei pozyskał olbrzymie grono popleczników. Na parterze i pierwszem piętrze tego drapacza nieba zorganizował p. Murchison stałą wystawę materjałów, używanych do budowy domów w Ameryce. Wystawa mieści więc kamień, stal, żelazobeton, gips, kafle, schody, windy, okna, drzwi, przyrządy do ogrzewania, urządzenia sanitarne itp. Jest to ciekawe aktualne muzeum, w którem znajdują się wszystkie najnowsze wynalazki z tej dziedziny. Na wyższych piętrach gmachu mieszczą się biura poszczególnych architektów.

Nie można wprost wyobrazić sobie oszczędności czasu, którą uzyskują architekci, mając możność regulowania wszystkich zagadnień i spraw, wchodzących w zakres ich zawodu, bez długich wędrówek z miejsca na miejsce. Przedsiębiorcy budowlani znajdują tu przeważną większość swych pracodawców, skoncentrowanych w jednem miejscu. Wreszcie zarówno architekci i przedsiębiorcy, jak i klienci mają tu pod ręką wszystkie próbki materjałów i przedmiotów używanych przy budowie.

W ogromnej mierze wykorzystują oczywiście tę oszczędność czasu, jaką dziś zapewniają drapacze nieba, także amerykań-



Gmach telefonów w San Francisco



Towarzystwo telefonów w St. Louis

skie instytucje użyteczności publicznej. To jest przyczyną, że olbrzymie te gmachy urastają na całym terenie Ameryki, jak grzyby po deszczu. Z pośród nowych drapaczy nieba, zbudowanych niesłychanie praktycznie, a jednocześnie z dużym smakiem artystycznym, wyróżniają się zwłaszcza dwa olbrzymie gmachy telefoniczne, niedawno wykończone, w San Francisko i w St. Louis.

Ta ekonomja czasu, stosowana we wszystkich dziedzinach życia, umożliwiła wprowadzenie w Ameryce pięciodniowego tygodnia pracy, ona pozwala przedłużać doroczny okres wypoczynku wakacyjnego, ona daje wszystkim swobodę życia, możność używania sportów i rozrywek, jednem słowem — życia szerszego i zupełniejszego. Transformacja życia, dzięki doskonałości organizacji, zwraca uwagę wszystkich przybywających do Stanów Zjednoczonych. Wszędzie widzi się ludzi, pracujących poważnie, bez pośpiechu i przemęczania się, ludzi, którzy mają zawsze czas, ponieważ cenią czas i umieją go oszczędzać.

Dzięki w niemałej mierze swym drapaczom nieba Ameryka oszczędza nerwy i zwiększa produkcję. Wyniki te są tak uderzające w oczy, że amerykańskie systemy budowlane zaczynają się także rozpowszechniać coraz bardziej w Europie: w Anglji, Holandji, Belgji, Niemczech, nawet w Hiszpanji powstaje coraz więcej hoteli, domów handlowych i t. p. przedsiębiorstw, budowanych i organizowanych na amerykańską modłę. *St. I.*

Rzeczy takie i owakie

Rzeźbiarz Gemito. Miał dziewięć lat, kiedy go wziął do swojej pracowni najbardziej znany wówczas rzeźbiarz neapolitański, Caggiano. Vincente Gemito również był neapolitańczykiem. Urodził się 17-ego lipca 1852 r. W roku 1868, czyli w szesnastym roku życia, zabłysnął na wystawie sztuk pięknych w Neapolu wspaniałą terrakotą pt. *Grajek.* Zakupił tę rzeźbę król włoski, Wiktor Emanuel. Potem wyrzeźbił słynne posągi Verdiego, Michettiego i innych. Potem zakochał się w młodej paryżance, pannie Matyldzie Duffaud. Była to wielka miłość. Gdy Matylda Duffaud umarła w r. 1880, Gemito zapomniał o całym świecie: pochłonął go niewymowny żal. W ciągu dwudziestu lat ataki rozpaczy omal nie odebrały mu rozumu.

Zaopiekowali się nim przyjaciele, rodzina królewska okazywała stałą pomoc znakomitemu artyście, pogrążonemu w niezgłębionej tęsknocie za zmarłą. Wreszcie, ta wieloletnia tkliwa opieka wróciła Wincentego Gemito światu. Po dwudziestu latach przebywania „na świecie, lecz już nie dla świata", Gemito odzyskał nietylko zdrowie, lecz jakgdyby wstąpił w nową wiosnę życia: po raz drugi stał się młody.

W roku zeszłym urządzono wystawę zbiorową jego dzieł i arcydzieł. Siedemdziesięcioletniego artystę podejmowano owacyjnie. D'Annunzio nazwał go cudownem zjawiskiem, przypominającem, iż istnieje starożytna rasa ludzi, którzy wyemigrowali niegdyś z Hellady na ziemie Kampanji...

Wincenty Gemito umarł.

Piękna jest historja jego życia. Wzruszające są dzieje jego miłości. Czarownie brzmi opowieść o jego wiernych przyjaciołach i o tym królu, który w natłoku ważnych spraw państwowych znajduje czas, aby myśleć o znakomitym artyście i aby nad nim roztaczać swą opiekuńczą władzę.

Świetna zabawa. Pewien robotnik jednej z nielicznych fabryk moskiewskich, niejaki Łarin, komisarz tej fabryki, musiał się poddać operacji. Jakież było zdziwienie chirurgów, gdy w żołądku Łarina znaleźli sto piętnaście (115) gwoździ, razem rzetelnej wagi 34.5 gram.

— Niech nam towarzysz komisarz wytłomaczy — rzekł do zoperowanego robotnika towarzysz lekarz — jakim sposobem te gwoździe znalazły się w jego brzuchu.

— Sposobem bardzo prostym — odparł osłabiony nieco pacjent. — Kiedy mnie mianowano komisarzem fabryki, nabrałem przekonania, że odtąd nie powinienem pracować. Wolny czas od komisarzowania zacząłem spędzać w szynkach. I właśnie stąd są te gwoździe.

— Z szynków? Jakoś to niejasne. W szynkach nie podają gwoździ zamiast śledzi.

— Ale podają wódkę, towarzyszu lekarzu.

— Co ma wspólnego wódka z gwoździem?

— Dla mnie połknąć gwoździk, to jedno wielkie nic. Ja łykałem gwoździk za kieliszek wódki. Publikę to bawiło. Stawiali po kieliszku, żeby widzieć, jak ja gwoździk łykam na zakąskę. Ot, i nabrało się trochę gwoździków w żołądku.

Towarzysz Łarin czuje się po operacji wybornie. Dziwi się tylko, że nie mógł strawić gwoździ, on, który strawił regime bolszewicki.

a. a. a.

Ian Sokolicz Wroczyński

ZRANIONA MIŁOŚĆ

Miłość jest nasza, jak rana,
krwawa, boląca, zszarpana.

Żżarta gorączką, paląca,
tylko za śmiercią tęskniąca.

Już się nie zrośnie, nie zgoi,
lek żaden jej nie ukoi.

Codziennie, zawsze i wszędzie
rwać, krwawić, dokuczać będzie.

Jest nasza miłość, jak rana
zczerniała, krwawa, zszarpana.

Usta ją Twoje zadały,
gdy się z mojemi żegnały...

DOKOŁA EKRANU

(„Gałganki" i „Adjutant" z Mozżuchinem w „Panie" i „Capitolu". — „Jezioro miłości" w „Palace". — „Student" w „Wodewilu". — „Ludzie podziemi" w „Tęczy". — „A kochanek miał sto" w „Splendidzie". — „Błękitne noce" w Kinie miejskiem).

W swoim czasie cieszyła się powodzeniem dużem w teatrze Małym miła, pełna sentymentu komedja Darjusza Niccodemiego „Scampolo", w tłomaczeniu polskiem — „Gałganek". Obecnie przerobiono sztukę tę na film, który zrealizowano dość poprawnie. Zdaje się, że jest to film produkcji mieszanej, obok bowiem Carmen Boni, pełnej wdzięku włoszki i Livia Pavanellego (troszkę przyciężki na amanta) występuje w tym filmie Hans Junkerman i kilku artystów niemieckich. Urok tego filmu — to sentyment i słoneczna pogoda.

Bardzo dobrym filmem jest „Adjutant". I tu Możżuchin daje dobrą kreację, jakkolwiek nie tak mocną w wyrazie, jak w „Prezydencie". Film produkcji europejskiej należy niewątpliwie do najlepszych w tym sezonie.

W „Palace" (obecnie króluje tam na ekranie jedna z tych „niesamowitych" gwiazd, Greta Grabo, w filmie niezłym „Żar miłości") wyświetlano obraz zrealizowany przez reżysera Konstantego Dawida. Był to film sensacyjny „Jezioro miłości", niczem właściwie nie wyróżniający się, ale tak dobrze skonstruowany, po reżysersku tak doskonale wyzyskany i dobrze grany, że zasługuje na uznanie. Tempo, scenarjusz z akcją żywo i konsekwentnie rozwijającą się, ustawienie sytuacji, doskonale podmalowane tło, dobór typów — oto zalety tego filmu, filmu istotnego, obfitującego w te wartości kinowe, których tak często brak, niestety, naszym obrazom.

W „Tęczy", gdzie mówiąc nawiasem, popisują się artyści śpiewacy i humoryści, wyświetlany jest obecnie świetny film p. t. „Ludzie podziemi". Scenarjusz doskonały, reżyserja znakomita, wybitna gra artystów składają się na zajmującą całość. George Banoeroft gra po mistrzowsku, Clive Brook: jest pełen wdzięku i wytworności, ich partnerka — urocza.

Wiktor Mac Langlen i Robert Armstrong — w rolach dwuch marynarzy zbratanych przyjaźnią „na wieki" — w filmie banalnym, ale dość barwnym „A kochanek miał sto..." w otoczeniu kilku pięknych kobiet dają koncert gry o doskonałym podkładzie charakterystycznym. Z ról kobiecych, rola Nephny jest odtworzona dobrze przez bardzo ładną, młodą artystkę, naturalną w ruchach, powściągliwą w grze pełnej wyrazu.

W kinie miejskim ładny obraz „Błękitne noce" grany jest przez uroczą Inogenę Robertson i najwytworniejszego z gentelmanów w średnim wieku — Lewisa Stone. Krążą pogłoski, że w związku z przeniesieniem zespołu teatru Letniego do dawnego gmachu teatru im. Bogusławskiego, władze miejskie, pragnąc nie zamykać kina miejskiego, starają się o nabycie jednego ze znanych teatrów świetlnych w okolicach Placu Teatralnego.

Z nowych filmów krajowych, które niebawem ujrzy publiczność, należy zanotować „Pana policmajstra Tagiejewa" z Bogusławem Samborskim w roli głównej, zrealizowanego na tle głośnej powieści Gabryeli Zapolskiej przez reż. Gardana oraz „Człowieka o błękitnej duszy" ze Zbyszkiem Sawanem w roli tytułowej.

Tad. Kończyc

„PAN POLICMAJSTER TAGIEJEW" ZAPOLSKIEJ NA EKRANIE



Pp. Marja Bogda, Zbyszko Sawan i wilk „Tilma"

NOTATKI LITERACKIE

WARSZAWA I WARSZAWKA Z PRZED LAT PIĘĆDZIESIĘCIU

W powieściach H. Sienkiewicza, B. Prusa, J. Weyssenhoffa, A. Konara, można odnaleźć oblicze obyczajowe Warszawy z przed lat pięćdziesięciu. Szczególnie A. Konar kładł nacisk na lokalność swoich narracji. Jest to jednak już materjał przetworzony, wybrany, sklasyfikowany. W „Matkach" Ig. Dąbrowskiego znajdujemy też obraz Warszawy z przed lat czterdziestu. Nie jest to stolica nasza na wszystkich przesłach społecznych, jak nie wyczerpują jej barw M. Gawalewicz czy Wiktor Gomulicki. Warszawę podziemną z tych czasów, ideową uwiecznił w wspomnieniach swoich Grabiec. Obraz Warszawy towarzyskiej, literackiej i artystycznej starała się jaknajwszechstronniej odtworzyć p. Anna Leo, córka redaktora „Gazety Polskiej". Salon pp. Leów co sobotę wypełniał się po brzegi najznakomitszymi ludźmi tych czasów. Bywał tu, jako przyjaciel H. Sienkiewicz, B. Prus, a z młodszej generacji St. Kozłowski, Wincenty Kosiakiewicz, Jasieńczyk. Muzycy, śpiewacy, malarze odwiedzali również gościnny dom państwa Leów. Wiele szlachetnych czynów wyłoniło się z tych sobotnich zebrań. Były to jednak wesołe, tryskające humorem wieczornice. Z dziennikarzy stałymi gośćmi bywali A. Breza, T. Czapelski, Orłowski. W pamiętniku p. Leo zaciekawia jednak przedewszystkiem kilka opisów rodzajowych, jak naprzykład bal karnawałowy, święcone, szopka, „dryndy warszawskie"... To jest już zamierzchła przeszłość. W epoce dancingu wymarły już typy zawodowych Fikalskich, pod przewodnictwem których odbywały się bale.

Dobrze uczyniła p. Leo, że spisała wspomnienia swojego dzieciństwa. Jest w nich nastrój życia Warszawy mieszczańskiej z przed lat pięćdziesięciu wraz z wszystkiemi dobremi, patrjarchalnemi stronami. Opinje jej o ludziach przeważnie znane są i z innych źródeł, tembardziej, że żyje jeszcze wielu świadków tej epoki. Wczorajsza Warszawa zamożna, syta, choć dławiona polityczną przemocą, odeszła w cień zasłużonej dobrej pamięci.

DZIAŁ ROZRYWEK UMYSŁOWYCH

Rozstrzygnięcie naszych dwuch pierwszych konkursów

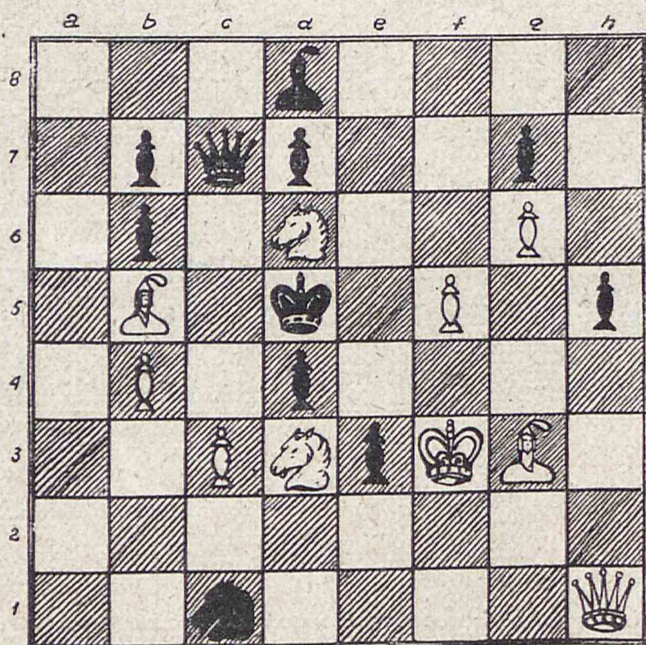
Nagroda w konkursie szachowym — **Anhelli Juljusza Słowackiego** w nowem pięknem wydaniu I. Mortkowicza—, przypadła p. Predragowi który z $5^3/_4$ punktami znalazł się na czele współubiegających się o tę nagrodę.

W dziale bridge'owym mamy natomiast aż trzech laureatów z równą ilością zdobytych 6-ciu punktów, a mianowicie: pp. W. Kiślańską, W. Buttlera i d-ra I. Zalewskiego, tak że w myśl regulaminu konkursowego dopiero losowanie musiało rozstrzygnąć o przyznaniu nagrody. Wybranką fortuny okazała się, p. Wanda Kiślańska, zdobywając cenną nagrodę w postaci pięknego wydawnictwa I. Mortkowicza: **Tym. Sawicki: Warszawa w obrazach Bernarda Belotta Canaletto.**

II. Konkurs szachowy: zadanie № 2 (8)

Autor: R. B. Cooke

wg. „The Ill. London News."

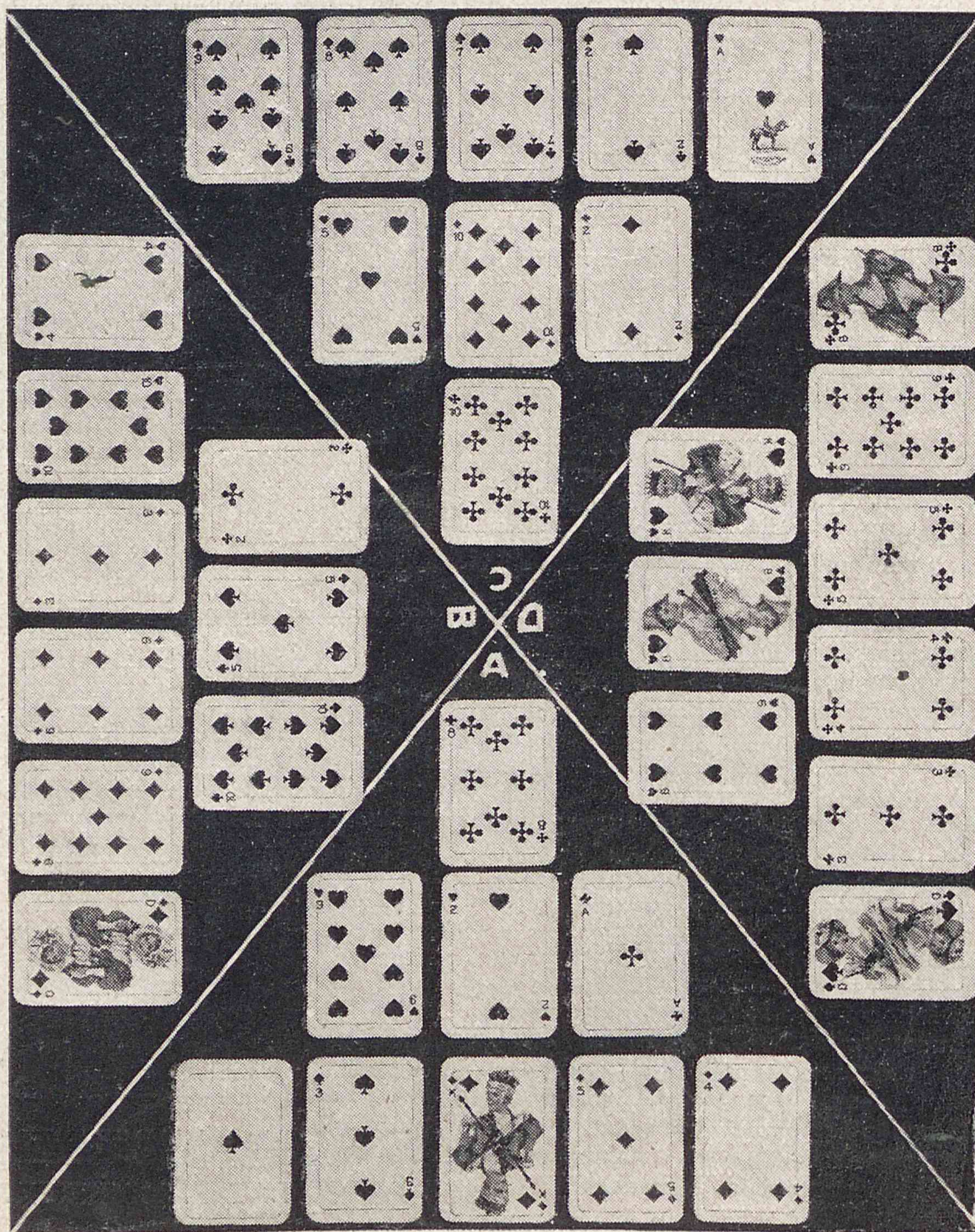


Białe: K f 3, D h 1, G b 5 i g 3, S d 3 i d 6
P : b 4, c 3, f 5, g 6 (10)
Czarne: K d 5, D c 7, G d 8, S c 1
P : b 6, b 7, d 4, d 7, e 3, g 7, h 5 (11)
Mat w dwuch posunięciach.

Rozwiązanie zadania szachowego № 1 (7)

I. G h 1—d 5; K e 5×d 5; II. D g 4—f 5 † i m.
. . . .; K e 5— f 6; II. D g 4— f 4 † i m.
. . . .; c 6×d 5; II. G c 5—d 4 † i m.
. . . .; f 7— f 6; II. D g 4— e 4 † i m.
. . . .; f 7— f 5; II. D g 4—d 4 † i m.
. . . .; f 7×e 6; } II. D g 4—g 5 † i m.
. . . .; f 7×g 6; }

II. Konkurs bridge'owy: zadanie № 2 (8)



Bez atu. A zagrywa. Partnerzy A C biorą 7 lew.

Rozwiązanie zadania bridge'owego № 1 (7)

A zagrywa króla karo. W drugim ruchu wychodzi A w 10 pik.

I warjant: B bije asem pik i odgrywa atu. C przyszedłszy do gry, podgrywa trefle, A bije stosownie do tego, co zostało położone u D, poczem A, wpuszczając D do ręki karem, zmusza go do oddania obu pozostałych lew treflowych.

II warjant: B po zabiciu asem pik gra damę kier. W tym wypadku musi A damę kier puścić zrzucając 7 karo, następne kier bije C 8 atutową, podgrywa trefle, przyczem A, przyszedłszy do ręki, odciąga ostatnie atu i zgrywa dobre trefl.

III warjant: Jak warjant drugi, z tą różnicą, że B po wzięciu lewy na damę kier, nie kontynuuje kierów, tylko gra atu. Jeżeli D do lewy tej dorzuci trefl, zatrzymując 9 karo, trzy ostatnie lewy bierze A na trefle. Gdyby natomiaat D dorzucił 9 karo, to C zgrywa w piątym ruchu 4 karo, dwie ostatnie lewy bierze A na trefle.

IV warjant: Jeżeli B nie bije w drugim ruchu asem pik, wtedy A zagrywa 7 karo, zmuszając D do wyjścia w trefle. Niezależnie od tego, co B zrzuca i w którym ruchu zdecyduje się na bicie asem atutowym — pozostałe lewy należą do partnerów A C, o ile A kontynuje grę przez trefle

V warjant: Jeżeli B nie bije w drugim ruchu 10 pikowej, natomiast przybija asem atutowym zagraną w trzecim ruchu przez A 7 karo, wtedy drugą lewę uzyskują partnerzy B D na damę kier, lub też na trefle, chyba że B w czwartym ruchu podegra trefle, co umożliwiłoby partnerom A C wzięcie zamiast obowiązkowych pięciu aż sześciu lew.

ŚWIAT SAMOCHODOWY

Nowy zamach na rozwój automobilowy

Niedawno wniesiony został do Sejmu projekt nowego opodatkowania pojazdów mechanicznych na terenie Rzeczypospolitej. Projekt ten, mający na celu naprawę i budowę dróg w kraju, winien wzbudzić czujną uwagę naszych automobilistów. — Trzeba przyjrzeć się sprawie tej bliżej:

Gdyby projekt wniesiony do Sejmu został wprowadzony w życie, posiadacz samochodu musiałby płacić rocznie 40 zł. podatku od 100 kg. wagi, o ile waga maszyny nie przewyższa 1500 kg.; ponad tę wagę podatek wyniósłby 55 zł. od każdych 100 kg. Opłaty te dotyczyłyby samochodów prywatnych, służących do własnego użytku. Od samochodów t. zw. „zarobkowych" pobierany byłby podatek w wysokości 55 zł. od 100 kg. wagi. Od samochodów ciężarowych, użytkowanych w celach zarobkowych, pobieranoby 35 zł. do 45 zł. od każdych 100 kg. zależnie od wagi samochodu.

Wolne od podatku byłyby pojazdy mechaniczne przedsiębiorstw państwowych, z wyjątkiem przeznaczonych do zarobkowego przewożenia osób i bagażów, pojazdy mechaniczne instytucji i zakładów użyteczności publicznej, oraz traktory używane do celów rolniczych i wszelkie pojazdy mechaniczne, używane do przewozu produktów rolnych i towarów, wyłącznie w obrębie posiadłości właściciela.

Dochód z tych projektowanych podatków miałby wynieść, według rejestracji samochodowej z dnia 1 stycznia 1928 roku, 13½ miljona złotych.

Natomiast projekt przewiduje zniesienie wszystkich dotychczasowych podatków od samochodów, mostowych, szlabanowych, luksusowych, rejestracyjnych itd.

Nie zdaje nam się, by projekt ten był szczęśliwy. Przeciwnie — wywoła on ponownie „strach" przed nabywaniem samochodów w kraju, a wiemy przecież, że rozwój automobilizmu w naszej ojczyźnie postępuje żółwim krokiem. Maszyn mamy mało, podatki płacimy od nich duże, ceny podwójne w stosunku do cen zagranicą, cła kolosalne. Każda drobna nawet naprawa samochodu kosztuje u nas drogo. — Jestże więc słusznem nakładać jeszcze nowe, wysokie podatki na posiadaczy samochodów, i tak nielicznych?

Wszyscy automobiliści pragnęliby mieć dobre drogi — asfalt i makadam nawet. Zachodzi jednak obawa, że miljony złotych, osiągnięte z podatków, nie przyczynią się do polepszenia dróg, jeśli nadal konie będą kute „na ostro", jeśli nie wyjdą regulaminy, zmieniające szerokość obręczy u kół wozów chłopskich i wreszcie — jeśli szosy robione będą nadal tak niedbale i licho, jak teraz się to dzieje.

W woj. poznańskiem i na Pomorzu stan dróg jest lepszy, bo i konie tam inaczej kują i furmanki mają koła, nie ryjące szosy. Przedewszystkiem tedy wprowadzić te nakazy w całem państwie. I czy nie należałoby dać pokój eksperymentom w rodzaju tych, jakie praktykowane są na szosie pod Raszynem: kawałek asfaltu, kawałek kostki, kawałek makadamu, gdy tak łatwo iść za przykładem zagranicy, która już wypróbowała wszelkiego rodzaju bruki i nawierzchnie u siebie. I jeszcze jedno: jeśli mają automobiliści płacić tak wygórowane podatki na budowę i konserwację dróg, to niechby w odpowiedniej proporcji płacili je także posiadacze furmanek, wozów frachtowych konnych itd. Wszak to oni psują właśnie nawierzchnie naszych dróg i szos najbardziej!

Żaden automobilista nie uchyli się napewno od zapłacenia podatku drogowego, ale chce mieć pewność, że ten podatek nie pójdzie na marne, że drogi będą naprawdę dobre i że ci, którzy je najbardziej psują, także za konserwację płacić będą.

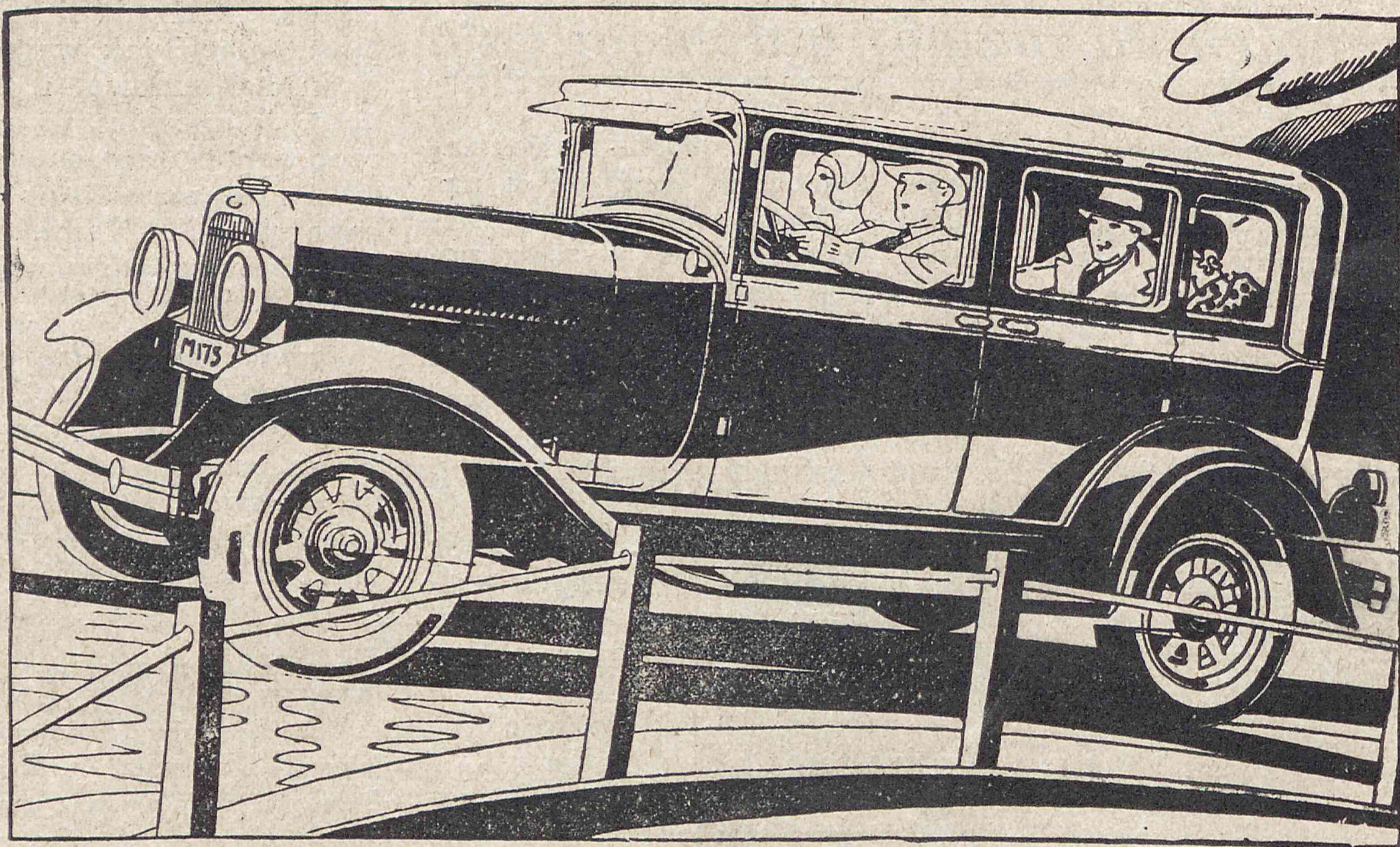
Drobne wiadomości

Powstał projekt budowy drogi automobilowej z Paryża do Konstantynopola. Byłaby to najdłuższa z istniejących dróg samochodowych. Sprawą zajęło się grono finansistów, interesujących się sportem... i przemysłem automobilowym.

W Republice Sowietów zajęto się gorączkowo wypracowaniem modela takiego samochodu, który byłby przystosowany do potrzeb i warunków chłopa i robotnika rosyjskiego. Samochód ma być mały, silnie zbudowany i tani, z bardzo prostą konstrukcją, tak żeby człowiek nie obeznany z mechaniką mógł się łatwo i szybko w maszynie rozeznać. Tego rodzaju samochód przydałby się bardzo i w Polsce.



Samochody na usługach leśnictwa w Stanach Zjednoczonych



Najbardziej nowoczesny samochód

OSIĄGNIĘCIE idealnego połączenia wytwornego wyglądu z komfortem, szybkością i pewnością silnika oraz nadewszystko z umiarkowaną ceną jest niezwykle trudnem zadaniem, możliwem jednak do wykonania przy doświadczeniu i olbrzymich zasobach technicznych General Motors.

Nowy typ **Oldsmobile** posiada w wysokim stopniu te wszystkie zalety, dzięki 32 letnim próbom i doświadczeniom, uwieńczonym całkowitem powodzeniem przy zastosowaniu najbardziej współczesnych ulepszeń.

Składają się na nie: cichy chód wobec gumowej izolacji motoru i podwozia, brak wszelkich wstrząśnień, dzięki hydraulicznemu izolatorowi oraz nadzwyczaj czuła kierownica.

Całość odznacza się wytworną, wygodną, harmonijną karoserją, specjalnie nisko osadzoną, w celu zapewnienia bezpieczeństwa przy szybkiej jeździe.

Pozatem cena znacznie niższa, niż jakiegokolwiek innego samochodu tej klasy i wyglądu.

Przejażdżka próbna w porozumieniu z najbliższym zastępstwem General Motors potwierdzi to zdanie. *Wyrób General Motors.*

OLDSMOBILE

GENERAL MOTORS W POLSCE, WARSZAWA

Egzotyczna hippika

Wstęp pełen refleksji. — Dzielni automobiliści. — Sport uwiódł pewne uparte zdrojowisko. — Skrzydlaci gazdowie. — Sława na całe Podhale.

Drzewiej ludzie telo nie wydziwiali w Zakopanem, co teraz. Nie było nartów, zawodów, a o wyścigach góralskich nawet się nikomu nie śniło.

Cudecki sie dziejom, cłek nimo jednego dnia spokojnego, coby koło statku uposłuzyć, jak sie patrzy, w izbie ciepłej posiedzieć, wygrzać sie i o chojcem pouradzać.

Ganiajom cie z jednego miejsca na drugie, telo tych różnych historji nawymyślali. W lecie djabły, samochody skrzecą po drogach, ścigajom ci sie przed nosem, ze bieda przeńść, skóra na cłeku cierpnie od strachu, pędu i wiatru, co się za nimi niesie. Trza mieć dobry trening, coby cie nie ozjechały.

Skończom samochody, zacnom rowery. Wyścigi z Krakowa, het ze światu, robiom. To znowu lituj sie cłeku nad połamanymi umarlakami, ftorych zanosom z turni bez całe lato, jaze w kostnicy ciasno sie robi. Ganiajom chłopów za tymi warjatami, od roboty gazdów odrywajom, Namoncom ci w głowie, ze to krześcijańska rzeć bliźniego ratować i ostatniom posługe mu oddać.

Dawniej kie cłek w górach zginon, to „honornie": a bo juhas przy owcach, kiemu sie z „głupoty" w turnicki zakciało iść, a bo w zimie przy drzewie pod lawinom. Przysuło śniegiem chłopa z koniem, smroków ze sto wyłamało, przyległy go pieknie, ładnie i tak se honornie w górach umarł.

A bele głupek w zime sie we wirchy nie pchał.

Teroz syćko na opak. Nie usiedzis w izbie, kie po wirchach goniom różne mistrze z cudzych krajów, a kie z regla sie puści, to 70 metrów ponad smreki leci.

Het orły wystrachali, ze ich nie uwidzis teroz nad turniami.

Tak sobie uradzają gazdowie zakopiańscy o atrakcjach sportowych, wypełniających swym gwarem letni i zimowy „serzun".

— Za Austrji to ta nic nie było, powiadają, za Polski powymyślali śportów, a śportów!

Tegoroczny sezon zimowy był rzeczywiście bogaty w najrozmaitsze atrakcje sportowe.

Zwaliły się na Zakopane z hukiem sensacji narciarskich międzynarodowe zawody. Przez dziesięć dni wszystko, co żyje i umie chodzić pod Tatrami, zostało zahypnotyzowane wielkiemi wydarzeniami sportowemi.

W tym rozgardjaszu prawie niepostrzeżenie minął wyścig zimowy, zorganizowany przez krak. Klub automobilowy na trasie Kraków — Zakopane. Przy 30° mrozu i przeciętnej szybkości 35 km. na godzinę automobiliści zdali egzamin hartu i woli. Wielu z nich poodmrażało ręce i nogi. Heroiczny raid.

Zakopane zmieniło ostatnio swe oblicze. Wyciągnęło otwarte ramiona bankrutującego zdrojowiska i serdecznie uścisnęło sport, zaprzęgając go do swoich celów.

Nie mamy wody, brak nam światła, bruków i najprymitywniejszych urządzeń, ale dajemy za to „gościom" pierwszorzędne imprezy sportowe!

Po zawodach Ris, zorganizowano wielkie konkursy hippiczne na śniegu, pierwszą tego rodzaju imprezę zimową w Polsce.

Nie będziemy się o nich rozpisywać. Niezbyt wysoki poziom jeźdźców i koni wynagrodziła sama atrakcyjność skoków przez przeszkody na śniegu.

Dla Zakopanego była to sensacja pierwszorzędna. Tubylcza ludność interesowała się niemi więcej, niż zawodami Ris. A nie zapominajmy, że Zakopane posiada już dzisiaj 15 tysięcy stałych mieszkańców i może łatwo „wystawić" w miarę potrzeby kilka tysięcy widzów, mogących zapewnić powodzenie niejednej poważnej imprezie sportowej. Największą sensacją konkursów były góralskie zawody konne. Zelektryzowały całą ludność góralską. Zwróciły uwagę na konia, dotychczas traktowanego jako zwykłe bydlę pociągowe, przynoszące mniejszy lub większy zarobek.

Poszedł hyr po chałupach o przygotowujących się zawodach.

Konie karmione dotychczas jałową sieczką i mizernem siankiem zaczęto opychać chlebem (autentyczne), niejeden „wierzchowiec" przypomniał sobie czasy niemowlęce, gdy do żłobu wlano mleka (autentyczne)!

Z poniewieranej i głodzonej szkapy awansowały nagle na konie wyścigowe.

Przez cały tydzień przed zawodami Zakopane stało pod znakiem końskim.

W stajniach odbywały się długie narady i fachowe posiedzenia:

— Twój Kuba wartki je w trapie, ale mój zaś nie da się w galopie! Spróguje-my się w stryku!

— A no uwidzimy, uwidzimy.

Dzień przed zawodami próbowano nawet skakać, ale gazdowskie koniki nie okazały żadnych talentów w tym kierunku. Poobtłukiwały nogi, napsuły przeszkód. Skończyło się na śmiechu i kpinach z odważnych eksperymentatorów.

Lecz zawody same udały się znakomicie.

Dzień był prawdziwie zimowy. Kurzyło i mroziło na potęgę.

Olbrzymie trybuny na Równi Krupowej zaległy tysiące widzów. Na miejscach stojących również tłoczno.

Sam pan burmistrz Winnicki zasiadł w jury.

Wyjeżdżają na tor „dwukonne zaprzęgi".

Konie wyczesane, wydmuchane. Góralska uprząż lśni się od blaszek, sprzączek i rzemieni, wyczyszczonych „na lustro". Sanie czyściutką baranicą nakryte, konie idą z kopyta, ach, żeby wszystko w Zakopanem okrągły rok tak wyglądało!

Trzy zaprzęgi zostały premjowane nagrodami 150, 100 i 50 złotych.

Zwycięzca Stanisław Gąsienica Marcinowski, to koniarz pierwszej klasy, zamiłowany w swoim fachu.

Wyjeżdża korowód sań jednokonnych. Sensacja!

Franciszek Cieśla paraduje w zgrabnych staroświeckich sankach, wzorowanych na dawnym typie stylowych sanek góralskich, wykonanych według modelu rzeźbiarza Brzegi.

Wzbudzają ogólny zachwyt! Brawo Cieśla!

Dawniej chciało się ludziom dłubać i wycinać w drzewie, a dzisiaj to wszystko — dziady!

Dzisiaj parę desek wyheblują, zbiją z nich pudło, lakierem pociągną i — jazda!

Taka to jest różnica nawet w głupich saniach między teraźniejszemi i dawnemi czasami. Lecz koniec refleksjom! Na tor wyjeżdżają jeźdźcy góralscy do biegu płaskiego.

Porywający widok!

Niby skrzydlaci gońcy, niosą się z furkotem cuch, rozwianych na wietrze, jak białe skrzydła, zdobnych w kolorową cyfrę. Na głowach czarne kapelusze z orlemi piórami. Czerwone wstążki falują w szalonym pędzie.

Pochyleni na koniach, w pełnym galopie przelatują przed trybunami.

Nie obeszło się bez groteski.

Niektóre konie, spasione chlebem i mlekiem, nie chciały ruszyć z miejsca, inne, po przebiegnięciu połowy okrążenia, wracały do bramy wejściowej, pomimo rozpaczliwych wysiłków jeźdźców.

Świetnie wyglądał wyścig skijöringu. Góral na koniu, góral za koniem. Dla patrzącego z daleka tempo wyścigu wydawało się dosyć powolne po wysiłku narciarzy, z trudem utrzymujących równowagę, widać było jednak, że szybkość pełnego galopu, zwłaszcza na zakrętach, jest zupełnie „poważna".

Najoryginalniejszym był wyścig zaprzęgów jednokonnych.

Przypominały się rydwany greckie, lecz w innych zupełnie warunkach... Barwne stroje powożących, śnieg, sanie i kurniawa zacinająca w oczy!

Wspaniałą taktykę powożenia zademonstrował Jan Walczak. Przez cały czas trzymał się prowadzącego, aż wreszcie silnym zrywem na ostatnim zakręcie wysunął się na pierwszego, finiszując do końca.

A potem kulig, hej kulig do Jaszczurówki!

Szalone powodzenie mieli właściciele zwycięskich zaprzęgów. Dzisiaj są sławni na całe Podhale!

R.

NARCIARZE Z OKOLIC WARSZAWY

(Szkice rysunkowe amatora-zawodnika, poszukiwacza okazowych terenów narciarskich)

Rys. art.-rys. T. Mędrecki



Na polach pod Konstancinem: W sobotni mroźny poranek zażywa rozkoszy narciarskich nawet pan Brydżower. Jest to zwycięstwo sportu nad stolikiem



Pagórkowate pola Zielonki, Kobyłki i Ząbek szczególnie w niedzielne południe pstrzyły się warszawskimi miłośnikami jazdy na nartach.



Rodzimy turniej narciarski w Radości... Nagrody były liczne. Najważniejsza—bilet kolejowy powrotny do Warszawy



Pierwszy rekord na wolnej przestrzeni pod Grodziskiem: nauka odbywała się w Agrykoli



Bez przygód? Czyż taki upadek może komuś zaszkodzić? Zdarzyło się, że nawet pomógł do rychlejszych oświadczyn...

Entuzjastyczne przyjęcie nowych modeli Studebaker'a

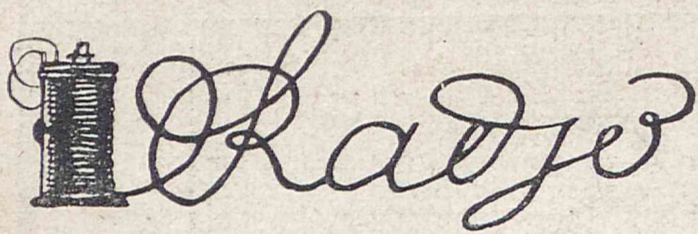
Kierownicy światowej firmy Studebaker Corporation of America twierdzą, że nie przypominają sobie bardziej entuzjastycznego przyjęcia nowych modeli Studebaker'a niż to, które spotkało wystawione ostatnio w salonach National Automobile Show w Nowym Jorku nowe modele ośmiocylindrowego President'a i Commander'a.

Wśród najładniejszych samochodów na tej wystawie wyróżniały się specjalnie dwa samochody: kabrioletka „The Commander", i pięcioosobowy „brogham" na podwoziu President Eight i na podwoziu Commander. Kabrioletka Commander była wykończona w żółtym odcieniu, ładnie odbijającym od stalowych szprych kół i szeregu chromplaterowanych okuć. Wielu krytyków uważało, że kabrioletka ta była najładniejszym samochodem na wystawie.

Cały szereg szczegółów, obecnie włączonych do konstrukcji nowych modeli Studebaker'a dla zapewnienia wygody jazdy, łatwości prowadzenia i bezpieczeństwa, spotkał się z żywem uznaniem publiczności fachowej. Specjalnie zwracano uwagę na powiększenie szerokości i głębokości siedzeń, oraz na dogodną pozycję kierowcy dzięki nowemu ustawieniu kierownicy, pedałów, hamulców i sprzęgła, oraz samego siedzenia.

Ciekawą inowacją jest zastosowanie w samochodach Studebaker'a mocnych, nie pękających szyb i podwójnej automatycznej wycieraczki, zapewniającej czyste pole widzenia podczas słoty zarówno dla kierowcy, jak i dla pasażera.

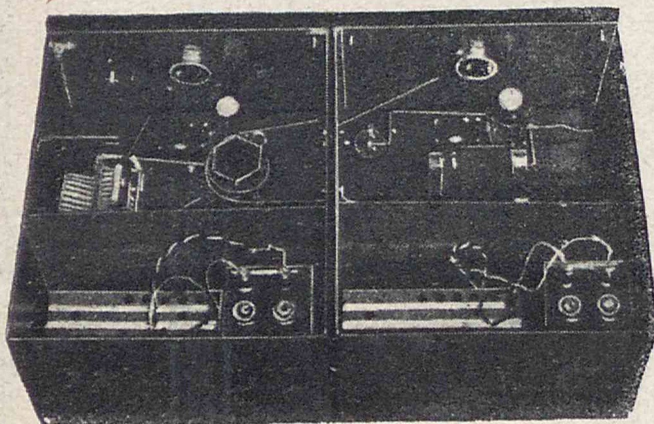
Entuzjastyczne przyjęcie przez publiczność nowych modeli Studebaker'a miało natychmiastowy wpływ na produkcję fabryki, która jeszcze podczas trwania wystawy ogłosiła, że program produkcji styczniowej samochodów Studebaker'a wyraża się najwyższą cyfrą miesięcznej produkcji, jaka kiedykolwiek była osiągnięta w ciągu długich lat istnienia fabryki Studebaker'a.



Słyszymy już, jak trawa rośnie...

Cuda elektro - ultramikrometru, ciekawe doświadczenia z elektrycznemi przyrządami pomiarowemi.

Radjostacja wiedeńska niejednokrotnie już przesyłała w szeroki świat na falach radja przeróżne, dziwne dźwięki. Pewnego wieczoru radjoabonenci usłyszeli w głośnikach i słuchawkach swych aparatów niezwykły syczący ton, połączony z miarowym stukotem: to biło w studjo *ludzkie serce* (doświadczenia prof. uniw. Dra Scheminzky'ego). Innym razem poszczególne silne uderzenia i trzaski, przypominające strzały rewolwerowe, obwieściły światu, że oto przed mikrofonem odbywa się nowe, cudowne misterjum wie-

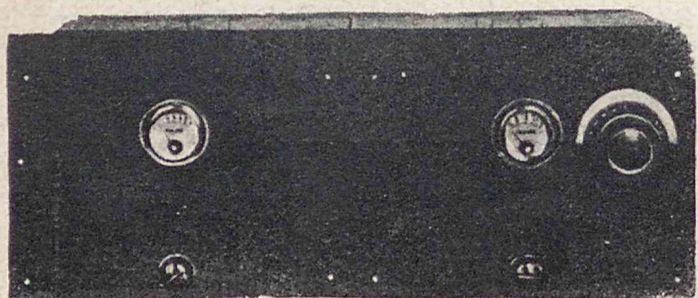


dzy: oto docent uniw. Dr. Kirsch przy pomocy bombardowania elektronowego rozbija atomy substancyj, które od stuleci uchodziły za niepodzielne.

Wszystkie te „wyczyny naukowe" zawdzięczamy kolosalnym zdolnościom amplifikacyjnym, czyli wzmacniającym nowoczesnych lamp katodowych.

W laboratorjum „Rawag'u" stworzono obecnie nowe dziwo — elektro-ultramikrometr. Cudowny ten aparat, będący jedynie nowem zastosowaniem znanych metod, sprowadza nam do szarej rzeczywistości znaną metaforę o człowieku, który „słyszy, jak trawa rośnie...".

Zmiany wymiarów rosnącej rośliny bowiem, przeniesione na odpowiednio czuły



aparat, który notuje zmianę tych wymiarów, słuchacze odczuwają jako zmianę wysokości otrzymanego w głośniku tonu.

Zasada działania ultra - mikrometru jest następującą:

Jeśli dwa ciała drgające (np. widełki strojowe, które w częstotliwości swych wibracyj różnią się cokolwiek względem siebie, wprawimy równocześnie w drgania, natenczas zauważymy t. zw. zjawisko interferencji, czyli dudnienia, objawiające się jako ton odpowiadający co do ilości drgań różnicy drgań obu tonów składowych. Jeśli ilość drgań na sekundę obu odstrojonych nieco od siebie kamertonów oznaczymy przez n_1 i n_2, natenczas częstotliwość dudnienia d będzie się równać

$$d = n_1 - n_2$$

Z wzoru tego wynika, że jeśli n_1 i n_2 są bardzo duże, a różnica pomiędzy niemi nawet bardzo mała procentowo, to jednak otrzymana różnica wypadkowa zawsze wypadnie względnie duża.

Myśl ta jest wyzyskana w następujący sposób: Dwa generatory lampowe, czyli małe stacyjki nadawcze, pracujące na tej samej długości fali, zestawione są razem w taki sposób, by mogły na siebie wzajemnie oddziaływać. Częstotliwość ich drgań jest więc równa i wynosi, dajmy na to, 1.500.000 okresów (Hertz'ów) na sekundę. Do obwodu strojonego jednego z oscylatorów dołączony jest równoległe mały kondensatorek, którego pojemność może się zmieniać w małych granicach. Kondensator ten tworzą dwa metalowe krążki, ustawione naprzeciw siebie. Zmiana ich odległości bodaj o mikroskopijny ułamek milimetra przy tak znacznej liczbie drgań może łatwo podnieść częstotliwość drgań danego oscylatora do — 1.502.000. Wstawiając tę cyfrę do powyżej przytoczonego wzoru, otrzymamy dla d:

$$1\,502.000 - 1.500.000 = 2.000.$$

W rezultacie więc otrzymamy dość wysoki ton o częstotliwości równej 2.000 Herz'ów, czyli drgań na sekundę. A więc mała zmiana pojemności wywołuje znaczne wahanie wysokości tonu interferencyjnego. Postępując w taki sposób, otrzymujemy z częstości drgań, za pośrednictwem zmiany pojemności, drogę do konstatowania minimalnych zmian długości.

Obserwując np. proces wzrostu rośliny, stosujemy system dźwigni, który, oparty o jej liście, wprawia w ruch jedną z płytek kondensatora zmiennego. Słuchacz więc słyszy w ustawionym głośniku ton, który stopniowo podnosi się i powoli przechodzi w coraz wyższy pisk, stając się po chwili już nieuchwytnym dla ucha (powyżej 20.000 okresów na sekundę).

Przy pomocy elektro - ultra mikrometru wykrywać możemy różnice w długości rzędu 1/10.000.000 mm., tj. wymiary mniejsze od długości fali świetlnej. Aparat ten wykrywa również i zmiany temperatury (przez rozszerzanie się ciał) w granicach do 1/10.000 stopnia. Jeśli np. włamywacz wejdzie do pokoju, w którym ultramikrometr ustawiono, natenczas może on dać za pomocą odpowiedniego relais (przekaźnika) sygnał ostrzegawczy, wzbudzony przez wywołaną w ciągu kilku sekund różnicę temperatury pokoju skutkiem otwarcia drzwi.

Daje się on również doskonale zastosować jako nader czuły sejsmograf do wykrywania odległych wstrząsów skorupy ziemskiej i t. p.

W najbliższym czasie więc usłyszymy, jak w Wiedniu „trawa rośnie", gdyż radjostacja wiedeńska zamierza nadać ten arcyciekawy eksperyment. Przekonamy się przytem, że wzrost rośliny nie odbywa się równomiernie, lecz dają się tu zauważyć pewne pulsacje, tj. następujące kolejno po sobie kurczenie się i rozszerzanie wszystkich tkanek, którego charakter jest specyficznie inny dla każdego gatunku rośliny.

Dzięki radjotechnice otwierają się przed badaczem nowoczesnym nowe dziedziny wiedzy, która była do tej pory zakryta zasłoną tajemnicy dzięki niedoskonałości naszych przyrządów pomiarowych.

Włodzimierz Junosza-Stępowski

PIERWSZY SĘDZIA KOBIETA W POLSCE



P. Wanda Grabińska, mianowana p. o. sędziego do spraw nieletnich, czyli t. zw. „asesor" Fot J. Malarski

TAM KUPUJCIE!

Bóg wojny, jako krytyk literacki

Sława Austerlitzu, Arcole, Marengo, Piramid dotarła do umysłowości najbardziej prymitywnych. Któż nie zna Napoleona, boga wojny? Nie wszyscy jednak wiedzą, że cesarz francuzów był również literatem. Gdyby nie gwiazda wojny, byłby może sławą literacką. Pierwszy swój utwór napisał w r. 1787 w Ajaccio pt. „Matka proroka". Jest to bajka. W dwa lata później próbował napisać historję swej ojczystej Korsyki. Napoleon umiał również wierszować. Znany przecież jest utwór rymowany pt. „Królik, pies i myśliwy". Historycy wysoko cenią jego „Wieczerzę w Beaucaire". Jest to jego młodzieńcze wyznanie wiary rewolucyjnej.

Napoleon, jako epistolograf, na swój czas zaliczyć się może do przednich mistrzów pióra. Szczególnie jego listy miłosne pełne są uroku i poezji słowa. Jako krytyk literacki w dorobku swoim pozostawił Napoleon studja o Wirgiljuszu, o Mahomecie Woltera, Sądy o poetach dramatycznych. Bibljografja zanotowała jego rozprawę „o sposobie pisania historji Francji", „O operze", „O dwóch obrazach Davida", „O karykaturze". Nie brak też rozważań filozoficznych i politycznych, a nawet „djalog o miłości", „O kobietach", „O rozwodzie".

Napoleon mówi o kobiecie:

„Macie pretensje do równości, lecz jest to szaleństwo. Kobieta jest naszą własnością; my zaś nie jesteśmy jej własnością, bo ona nam daje dzieci, a mężczyzna nic jej wzamian nie daje. Ona więc jest jego własnością, jak drzewo owocowe należy do ogrodnika".

Nie wiem, czy się podoba ten sąd o kobietach Napoleona. Nie ulega wątpliwości jednak, że Napoleon podobał się kobietom i to bardzo. Sądy jego krytycznoliterackie ostały się wobec zmienionej psychiki współczesności w stopniu znacznie większym, niż jego opinje o kobietach. Czyż nie należałoby z tego wysnuć wniosku, iż był bystrym obserwatorem i dobrym sędzią literatury?

TO I TAMTO

W sklepie z gramofonami:

— Proszę uprzejmie o małą płytkę do gramofonu...

— Tu jest lista nowości... — grzecznie mówi subjekt.

— Chodzi tylko o to, żeby płyta była mała!...

— Niech pani jednak wybierze!... A może pani zaprodukować?

— Chyba że wzięłabym do domu na próbę!... Moja służąca według małych płyt orjentuje się co do przyrządzania jaj. Jajko na miękko jest doskonałe, gdy wygra się mała płyta z pańskiej firmy.

*

W sądzie:

— Czy nazwał pan oskarżonego złodziejem i rabusiem!

— Tak jest, panie sędzio.

— Czy powiedział mu równocześnie, że jest kłamcą i oszustem...

— Nie miałem wtedy czasu. Musiałem pilnować rzeczy, które mu odebrałem.

Redaktor odpowiedzialny ST. KRZYWOSZEWSKI   DRUK GALEWSKI I DAU, WARSZAWA

Rewolucja w Afganistanie: koncepcja francuskiego humorysty z powodu reform Amannulaha

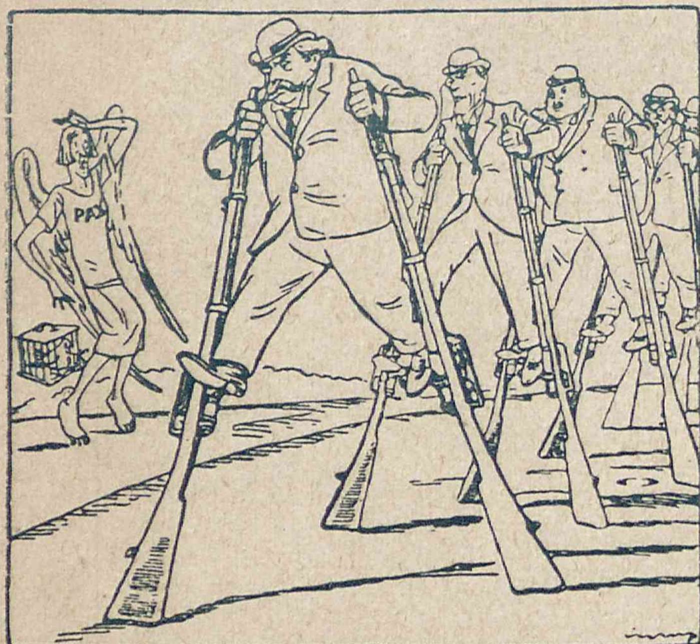




Z lewej:
Ongiś tak wyglądała urocza dama w Afganistanie

Z prawej:
Po reformie odsłonięto co było zasłonięte na wzór Europejski i... Amannulah musiał uciekać z Kabulu

HUMOR ZAGRANICZNY



Zbliżamy się wielkiemi krokami w stronę rozbrojenia na szczudłach z karabinów.

TO I OWO

Przy szklance piwa:

— Ciekaw jestem, co dasz swojej żonie, na imieniny?

— Phi, nie mam z tem zmartwienia!...

— Poradź mi więc, jaki prezent najlepiej przydać się może!...

— Poduszka z gumy...

— A ty, co dasz swojej pani?...

— A ja w tę poduszkę naleję gorącej wody. Będzie miała kobieta ciepło i wygodnie...

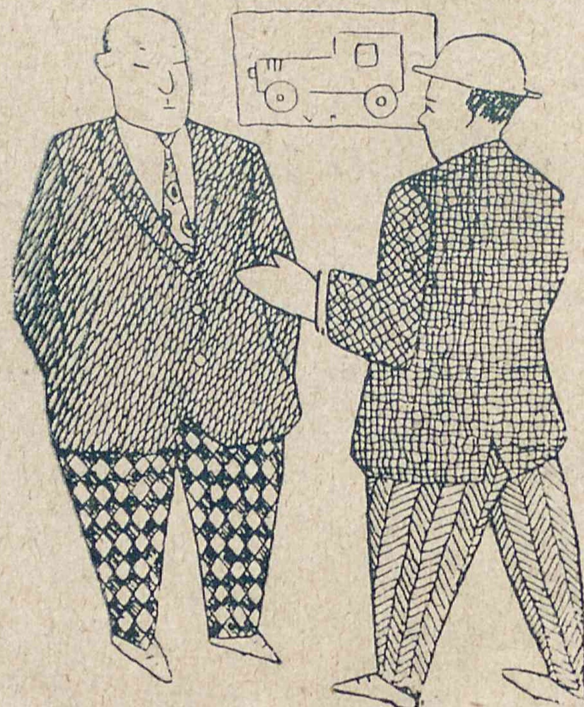
*

Po burzy na pokładzie okrętu kapitan spotyka pana Leona i dziękuje mu:

— Dzielnie spisywał się pan przy pompach. Widać odrazu, że umie się pan obchodzić z wodą. Czem się pan wogóle zajmuje?...

— Handluję mlekiem w Gdyni...

HUMOR ZAGRANICZNY



— Wczoraj p. X. kupił od pana automobil... Proszę mi go wydać.
— Masz pan pełnomocnictwo...
— Mam jego niezapłacone weksle.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Telef.: Administracji 504-00. Ekspedycji 501-51
Konto czekowe P. K. O. Nr. 3755
Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski Krak.-Przedmieście 13, (Hotel Europ.)

W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłosz. „PROMIEŃ" Piotrkowska 81, Księgarnia „Czytaj" Narutowicza 2, we LWOWIE: Oddział Tow. „RUCH"
CENY PRENUMERATY w Warszawie, odbiór na miejscu miesięcznie 5 zł., z odnoszeniem do domu 6.— zł., na prowincji: miesięcznie 6.60 zł., kwartalnie 19.80 zł.
Zagranicą miesięcznie 8.60 zł.

Cena numeru w Warszawie, na prowincji i na wszystkich dworcach kolejowych **1 zł. 40 gr.**

DRUK GALEWSKI I DAU WARSZAWA